



w tym
NUMERZE:

IGOR ZALEWSKI

- To w ogóle niesamowite, że ktoś ma jeszcze odwagę przewidywać. Lista osób, którym przyszłość dała lekcję pokory jest imponująca. Poczawszy od tego gostka, który przewidywał za czasów drugiego Cesarstwa, iż życie w Paryżu w XX wieku będzie nie do zniesienia z powodu grubej warstwy końskiej łajna - pisze Igor Zalewski. Publicysta i felietoni-



JAROSŁAW HEINZE

Te niewinnie wyglądające papiry mają faktycznie potężną moc rażenia i to od jakichś osmiuset lat. Wymyślony przed obligacjami kredyt, ze swoim wpływem na losy świata, musiał popaść w kompleksy. No, ale jeśli decyduje się o losach wojen i państw, to poprzeczka zawieszona jest faktycznie wysoko. Myślicie, że Napoleon przegrał pod Waterloo, bo

JAKUB BIERNAT

Nagle młodzi ludzie z całej Europy Wschodniej polubili "Kołbasę". Spontaniczne taneczne pochody hardbass do dźwięków rosyjskiego hitu zaczęto organizować w niemal całej Europie Środkowo-Wschodniej: od Belgradu do Gdańska. Hardbass to rodzaj muzyki techno opartej na szybkim moc-



WIKTOR ŚWIETLIK **STANISŁAW MAŁOLEPSZY**

Zniesienie habilitacji, zamiana modelu finansowania grantów, walka z łapówkarstwem i plagiatostwem, docenianie zdolności, a nie wysługi lat - to dla młodych akademików jest dziś ważniejsze niż pieniądze. STR. 4-5

WIARY, NADZIEI, MIŁOŚCI I DALEKICH LOTÓW

Jest taka bardzo stara brytyjska maksyma, że korporacje nie mają dusz. Niestety, dziś reguła ta coraz bardziej zaczyna się odnosić do całych społeczeństw, a także świata nauki, mediów, polityki i biznesu. Duszę, najlepiej opisywaną imionami siostr: Wiary, Nadziei i Miłości, zastąpiły unormowania administracyjne, przepisy prawne, formularze albo - z drugiej strony - gra na najniższych, zwierzęcych emocjach: wściekłości i strachu. Dobrym przykładem tego są zmiany, do jakich doszło w polskiej nauce w ostatnich latach w wyniku tak zwanego procesu bolońskiego. Na starą popeerelowską biuro-

krację akademicką nałożoną nową - europejską. Jednak kiedyś akademia symbolizowała dyskusję, pasję, miłość do nauki. Dziś jej najlepszym wyrazem jest chyba sylabus sporządzony zgodnie z dyrektywą. Spokojnie, to Święta, nie będziemy Was zamęczać narzekaniem. Postaramy się za to tym numerem „Konceptu” Was zainteresować i bawić przekazując jednak pewien generalny postulat łączący

większość tekstów. Postulat obudzenia duszy. A zarazem pokazania, że wciąż ją mamy. Gdzie tej duszy szukać? W Święta najlepiej w górach. Tam ludzie z krwi i kości występują w większym napięciu. Tacy, jakich opisuje w swoim wywiadzie - reportażu Agnieszka Rucińska. Ludzi, by zacytować Kaczmarskiego, „do świętości zdolnych i zbrodni”. Autorka zdecydowała się pokazać jedną z najbardziej kontrowersyjnych rodzin podhalańskich, oceny pozostawiając czytelnikom - pokazała bohaterów takimi, jakimi są. Dlatego momentami podczas lektury rozmowy nóż się w kieszeni otwie-

ra, choćby wtedy, kiedy rozmówcy Agnieszki Rucińskiej porównują handel kobietami do wymiany zawodników między klubami. Ale też widzimy tych górali jako ludzi rodem z „Hymnu” Luxtopredu. Pełnych „wiary, siły i męstwa”, którzy zakończyli swój burdelowy biznes w dniu śmierci Jana Pawła II, chcą odkupić swoje grzechy, i którzy stanowią zwycięski rodzinny team motocrossowy.

Brak duszy trudno zarzucić także hardbassowcom - „pacyfistycznym chuliganom” (pisze o nich Jakub Biernat), którzy na siłę uporządkowany porządek zakłócają ku uciesze własnej i gawiedzi. Można by powiedzieć, że to faceci, którzy niszczą niepotrzebne formularze do sylabusów malując na nich dzieła sztuki.

Jak widać z tą duszą nie jest najgorzej. Jarosław Heinze nieco karkołomnie, choć bardzo ciekawie, udowodnia, że mają ją nawet obligacje.

Piotr Gursztyn uważa, że w Polsce została ona uśpiona pod koldrą kompleksów, które sprawiają, że nie doceniamy nawet turystycznej atrakcyjności naszego kraju.

Trzeba więc ją wszędzie, gdzie się da obudzić i pozwolić jej pokonać sylabusy, szklane sufity, dyrektywy i marazm. Przywrócić duszę uczelni, odbiurokratyzować ją, znieść bezproduktywne systemy awansów i finansowania. Premiować pasję, talent, realną, a nie malowaną w formularzach skuteczność.

Tego, a także szczęścia, zdrowia i miłości życzymy Wam w Święta i w nadchodzącym roku 2013.



FOTO Agencja Reporter

Trzeba wszędzie, gdzie się da obudzić duszę i pozwolić jej podrzeć sylabusy, stłuc szklane sufity i przelamać marazm. Przywrócić pasję i wolę działania.

CZY KOWALCZYK PRZESKOCZY MAŁYSZA?

WITOLD SKRZAT

Justyna Kowalczyk goni w ilości sukcesów sportowych króla polskich sportów zimowych. A jednak do zdetronizowania go w sercach Polaków wciąż ma dużo dalej niż do pokonania go w liczbie medali. Oto jedna z opinii: - Justyna nie przeskoczy Adama Małysza, choć walka będzie bardzo emocjonująca. Kibice łatwiej i czę-

niej konsumują skoki niż biegi, a do tego sporty męskie z reguły budzą większe zainteresowanie. Poza tym skoczkowie dają kibicom unikalny system przeżywania emocji. To kilkadziesiąt powtarzalnych, emocjonujących sekwencji.

Czy jednak będzie tak na pewno? Na korzyść Kowalczyk działa czas.

Ona wciąż jest w grze. Ale i tu mogą się pojawić zagrożenia. Marzenia o justynomanii pełną gębą mogą zniweczyć sukcesy Kamila Stocha, który talentem nie ustępuje ponoć Małyszowi.

Jest jeszcze jedno zagrożenie - a co jeśli i skromny wąsacz spełni swe kolejne skryte marzenie - wygra Dakar?



BYŁO, JEST, BĘDZIE

Powstanie antyplagiato-wa sieć

Zamiast programu do wykrywania plagiatów ma pojawić się centralna baza studentów i pracowników naukowych. Dzięki temu będzie można sprawdzić, czy dana praca została skopiowana i w jakim stopniu. Każda uczelnia będzie miała obowiązek wprowadzenia wszystkich prac (licencjackich, magisterskich, habilitacyjnych) do systemu komputerowego, który porówna je z tymi już znajdującymi się w bazie lub w internecie. Następnie, promotor i uczelnia zdecydują, czy praca nosi znamiona plagiatu. Pomysłodawcą tego rozwiązania czyli Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego tłumaczy, że celem systemu ma być przywrócenie wiary w wartość studiów i dyplomów, a prace mają być samodzielne ponad wszelką wątpliwość.

proc. nauki medyczne, 11 proc. kierunku techniczne, a ponad 8 proc. nauki społeczne. Proporcjonalnie najwięcej studentów zagranicznych studiuje jednak na uczelniach medycznych, gdzie co dwunasty student pochodzi z zagranicy.

Polskie Nobile rozdane

Profesorowie Krzysztof Palczewski, Mieczysław Mąkosza, Maciej Wojtkowski i Ewa Wiprzycka otrzymali Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, zwane polskimi Noblami. Każdy z laureatów dostanie 200 tys. zł. Pierwszy z tegorocznych zwycięzców - prof. Palczewski z Case Western Reserve University w Cleveland (USA) - nagrodę otrzymał w dziedzinie nauk o życiu i o Ziemi. Do jego najważniejszych dokonań należy m.in. odkrycie mechanizmów powodujących degenerację siatkówki oka, która prowadzi do utraty wzroku. W dziedzinie nauk matematyczno-fizycznych i inżynierskich uhonorowano prof. Wojtkowskiego (toruński Uniwersytet Mikołaja Kopernika) za opracowanie i wprowadzenie do praktyki tomografii umożliwiającej bezbolesną i prowadzoną na żywo obserwację funkcji oraz struktur organizmu. Laureatką nagrody w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych została prof. Wiprzycka (UW) za „wszechstronną rekonstrukcję funkcjonowania wspólnot klasztornych w późnoantycznym Egipcie”. Natomiast prof. Mąkosza z Instytutu Chemii Organicznej PAN opracował i wprowadził do chemii organicznej nowy rodzaj reakcji, mającej swoje zastosowanie w przemyśle farmaceutycznym, środków ochrony roślin i elektronice. Fundacja na Rzecz Nauki Polskiej nagrody przyznaje od 1992 roku. Są one uważane za najbardziej prestiżową wyróżnienie naukowe w Polsce. Grono laureatów, łącznie z tegorocznymi, liczy 76 osób.

Student z zagranicy jak biały kruk

Obecnie w Polsce studiuje ponad 24 tysiące studentów zagranicznych z 141 krajów. Największą grupę stanowią Ukraińcy, których w Polsce kształci się ponad 6 tysięcy. To prawie 4 tysiące więcej niż w roku 2011, jednak nadal stanowią oni zaledwie 1,39 proc. wszystkich studentów - wynika z raportu zaprezentowanego przez Fundację Edukacyjną Perspektywy. Polska pod tym względem pozostaje najmniej umiędzynarodowionym krajem członkowskim UE, bo więcej obcokrajowców studiuje nawet w Bułgarii czy Rumunii. Ponad 28 proc. studentów zagranicznych studiuje w Polsce kierunki ekonomiczne i biznesowe, ponad 26



ZEUS - najszybszy polski komputer, 106 pod tym kątem na świecie, własność krakowskiej AGH.

„AKCJA PACZKA” – DLA RODAKÓW NA KRESACH

„Akcja Paczka” to realizowany od 16 lat projekt Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. W tym roku z darów, które harcerki i harcerze zbierają w szkołach, na uczelniach, przy parafiach czy sklepach, przygotowywanych zostanie ponad dwa tysiące paczek, głównie z żywnością i ubraniami. W przedświątecznym okresie trafią one bezpośrednio do pol-

skich rodzin mieszkających na Litwie, Ukrainie, Białorusi i Łotwie. Ciężko opisać radość i ogromne wzruszenie odwiedzanych osób na widok młodzieży z Polski - mówi Tomasz Górnicki, pełnomocnik Naczelnictwa ZHR ds. Akcji Paczka. - Harcerze chodzą od domu do domu, niczym kłodnicą i ubraniami. W przedświątecznym okresie trafią one bezpośrednio do pol-

wo, budując tym samym nie tylko więź z narodem polskim, ale i pozytywny wizerunek naszego kraju. W tegorocznej akcji udział weźmie ponad 500 młodych ludzi. Projekt wspierany jest we współpracy z Fundacją „Kresy w Potrzebie - Polacy Polakom”. Więcej informacji na: www.akcjpaczka.zhr.pl

ZRÓDŁO: własne; www.natlabicy.pl; www.nauka.gov.pl; Polska Agencja Prasowa

Pod znakiem „Konceptu”:

OGÓLNOPOLSKA KONFERENCJA O ZAANGAŻOWANIU POLITYCZNYM I OBYWATELSKIM MŁODZIEŻY



Młodzi ludzie w dzisiejszej Polsce zmęczeni są marazmem i jałowością walki politycznej. Do tego dochodzi odczucie, że samorealizacja w życiu obywatelskim jest niemal niemożliwa. Polityka i młodzieżówki największych partii przyciągają przede wszystkim karierowiczów. Równocześnie rośnie pozycja organizacji radykalnych, zarówno lewicowych, jak i prawicowych, które skutecznie trafiają w zapotrzebowanie młodych ludzi. Takie między innymi wnioski można wysnuć z konferencji naukowej „Młodzież a polityka. W poszukiwaniu modelu uczestnictwa młodych w życiu politycznym” zorganizowanej przez Katolicki Uniwersytet Lubelski. Patronem konferencji był „Koncept”.

W trakcie spotkania lubelscy studenci i akademicy mogli zapoznać się z ofertą młodzieżówek partyjnych, posłuchać o różnicach między zaangażowaniem młodzieży w PRL, latach 90. i dziś. Najoryginalniejszym panelem był ten związany z historią lubelskiej „Pomarańczowej Alternatywy”,

niekonwencjonalnej opozycyjnej organizacji schyłku PRL, której uczestnicy po latach opowiadali o swoich akcjach. Co ciekawe, z panelu wynikało, że losy lubelskiego oddziału „Pomarańczowej Alternatywy”, która zaskarżyła prowokacyjnymi akcjami parodiującymi peerelowską ideologię i standardy propagandowe, interesują dziś dużo bardziej zachodnich badaczy niż Polaków. Działacze „Pomarańczowej Alternatywy” opowiadali o akcji „wzajemnego palowania” i odsłonięciu „jajcarskiego” pomnika Bieruta - happening rozsławiło to, że gipsową karykaturę Bieruta odsłaniała jego wnuczka.

W panelu poświęconym organizacjom radykalnym ścierał się dr Adam Leszczyński („Gazeta Wyborcza”, ISP PAN) i Wiktor Świątklik („Koncept”, CMWP SDP). Pierwszy z nich zagrożenie widział przede wszystkim po stronie prawnicowego radykalizmu, między innymi ONR; drugi zwracał uwagę na akceptację haseł i przemocy radykalnej lewicy, m.in. Antify oraz rehabilitację

komunizmu, także na zachodzie Europy.

W panelu „Czy młodzież może zmieniać świat” poświęconym zaangażowaniu politycznemu i obywatelskiemu młodych ludzi, Mariusz Chłopik („Koncept”) zwracał uwagę na to, że zaangażowanie zaczyna się na poziomie oddolnym od drobnych inicjatyw. Adam Leszczyński mówił o roli wybitnych, młodych jednostek w zmienianiu rzeczywistości. Profesor Krzysztof Kosiński (PAN) i Wiktor Świątklik zwracali uwagę na zagrożenia związane z możliwościami manipulowania młodym pokoleniem.

W trakcie ostatniego panelu wywiązała się ostra dyskusja panelistów ze studentami siedzącymi na sali. To dowód na to, że z tym zaangażowaniem i chęcią wprowadzania zmian ze strony młodego pokolenia nie jest chyba aż tak fatalnie, jak chcieliby niektórzy.

Redakcja „Konceptu” pragnie podziękować profesorowi Markowi Wierzbickiemu za zaproszenie do współpracy i udziału w tej bardzo ciekawej konferencji.

Wiara w prognozy najbardziej znanych naukowych wieszczów naszych czasów jest równie rozsądna co wiara w Świętego Mikołaja

NIE WIERZCIE W PROGNOZY

IGOR ZALEWSKI

Z przyszłością jest taki sam problem jak z pogodą. Drobnitki element, powiedzmy owe słynne skrzydełka motyla w puszczy amazońskiej, może okazać się źródłem wielkich, niespodziewanych przemian.

- Idzie koniec roku, to weź napisz coś o przyszłości - polecił mi redaktor naczelny pisma „Koncept”. Ha! Łatwo mu mówić! Bo kiedy moje prognozy okażą się bzdurami (jak to prognozy), nie on będzie skompromitowany, tylko ja.

To w ogóle niesamowite, że ktoś ma jeszcze odwagę przewidywać. Lista osób, którym przyszłość dała lekcję pokory jest imponująca. Począwszy od tego gościa, który przewidywał za czasów drugiego Cesarstwa, iż życie w Paryżu w XX wieku będzie nie do zniesienia z powodu grubej warstwy końskiego łajna; przez czczonego w Polsce Zbigniewa Brzezińskiego wróżącego w latach 80. poprzedniego stulecia długi żywot Związkiowi Radzieckiemu; aż po wielbionego powszechnie intelektualistę Francis Fukuyamę, który w 1989 roku ogłosił koniec historii. W międzyczasie byli jeszcze futurologi głoszący nadejście globalnego głodu i przeludnienia oraz analitycy banku Goldman Sachs, którzy sporządzili pod koniec 2009 roku listę najlepszych okazji inwestycyjnych na 2010 r. Wszystkie przyniosły stratę.

Trzeba być zatem albo durniem albo powszechnie szanowanym autorytetem, by zerkać za węgiel terazniejszości. Na durnia i tak nikt nie zwróci uwagi, a Brzezińskiemu czy Fukuyamie głoszone przez nich brednie nie zaszkodziły w karierze i utrzymaniu statusu wszechwiedzącej wyroczni. Mistrzowie.

Z przyszłością jest taki sam problem jak z pogodą. Drobnitki element, powiedzmy owe słynne skrzydełka motyla w puszczy amazońskiej, może okazać się źródłem wielkich, niespodziewanych przemian. Doskonałą ilustracją tego, jak wielkie znaczenie dla przyszłości może mieć mała pierdołka, jest Australia i miłość Brytyjczyków do polowań na lisa.

Otóż angielscy koloniści czuli się na antypodach obco, postanowili więc sprowadzić z ojczyzny lisy, żeby mieć za kim uganiać się na nogach. Lisy nie bardzo miały jednak czym się żywić, więc postanowiono w Australii osiedlić także króliki. Jak wiadomo, doprowadziło to do straszliwej katastrofy ekologicznej i jeszcze dzisiaj farme-ry walczą z tymi pluszakami mniej więcej tak, jak Amerykanie z Wietkongiem (napalmem i ciężkim sprzętem). Namierzono nory królicze niszczyć się buldożerami i dynamitem, ale skutek jest podobny do tego w Wietna-

mie. To znaczy niezbyt duży. Zdesperowani farmerzy i rząd sięgają ostatnio po broń bakteriologiczną i aplikują sympatycznym stworcom wirusa zwanego calcivirus. Na poprzednią chorobę myxomatosis cwane króliki już się uodporniły.

Jednak najciekawsze w całej króliczej kwestii jest to, że osadzenie tych zwierzątek w Australii było bardzo trudne. Pierwsze cztery próby zakończyły się niepowodzeniem. Sympatyczne stworzonko wyginęły w morderczym klimacie i szczekach psów dingo. Powiodło się dopiero piąte podejście, gdy puszczono na wolność specjalne wprowadzone dzikie króle z Hiszpanii. Australijczycy niesamowicie się napracowali, żeby sprowadzić na swą ziemię nemezis. Biedacy, zupełnie nie byli w stanie przewidzieć konsekwencji własnych poczynań i śmiem twierdzić, że pod tym względem zbytnio się od nich nie różnimy. Ile przecież wysiłku włożono w to, żeby wywołać kryzys na rynku amerykańskich nieruchomości, który - dzięki radośnie budowanej globalnej wiosce - rozlał się na cały świat.

Zatem ja absolutnie nie podejmuję się wieszczyc. Jeśli ktoś jednak bardzo chce zerknąć w przyszłość, polecam książki Geорга Friedmana „Następne 100 lat” i „Następna dekada”. Bardzo przekonujące. Tak bardzo, że nie mogę się doczekać, kiedy okażą się funta kłaków warte.

Trzeba być zatem albo durniem albo powszechnie szanowanym autorytetem, by zerkać za węgiel terazniejszości. Na durnia i tak nikt nie zwróci uwagi, a Brzezińskiemu czy Fukuyamie głoszone przez nich brednie nie zaszkodziły w karierze i utrzymaniu statusu wszechwiedzącej wyroczni. Mistrzowie.



Nie chodzi tylko o kasę. Oto lista rzeczy, które trzeba zmienić w polskiej nauce

SKOŃCZMY Z HABILITACJAMI, SYLABUSAMI I GRANTAMI RODEM Z „MISIA”

WIKTOR ŚWIETLIK

STANISŁAW MAŁOLEPSZY

Bez radykalnych reform nie pomogą ani zakłęcia, ani pieniądze, ani apele. By polscy absolwenci mogli dobrze zarabiać w kraju, by polskie wynalazki mogły być wdrażane przez przemysł, by biznes, samorządy, administracja mogły korzystać z dorobku uczelni, potrzebne są bardzo konkretne zmiany. Zapytaliśmy nauczycieli i naukowców z kilku dużych polskich uczelni, co ich zdaniem trzeba zreformować. Oto lista proponowanych przez nich zmian.

O tym, że z polską nauką nie jest dziś zbyt dobrze, wiedzą niemal wszyscy. Niskie pensje, brak wdrożeń, niejasne zasady awansu, archaiczne metody nauczania albo wręcz przeciwnie – usilne imitowanie nowoczesności będące w gruncie rzeczy jej parodią – to najczęściej wymieniane problemy. Dotykają one w dalszej części nie tylko nauki, ale też przemysłu, szkolnictwa średniego, a ostatecznie nawet jakości produktów oferowanych przeciętnemu Polakowi.

W debatach o tym, jakich zmian potrzebuje polska nauka, dominuje temat pieniędzy. – Chcemy, żeby większy procent środków budżetowych był przeznaczony na szkolnictwo wyższe – to mantra środowisk naukowych, nie tylko w Polsce. Jednak naukowcy z dużych uczelni nie wierzą, że sam szerszy strumień złotych poprawi sytuację. Ba, co gorsza, szczególnie zdaniem młodych pracowników naukowych, jeśli środków przybędzie, a system się nie zmieni, to pieniądze te tylko będą utrzymywać negatywne zjawiska.

Redakcja „Konceptu” przeprowadziła kilka rozmów z polskimi naukowcami i nauczycielami akademickimi. Na ich podstawie opracowaliśmy listę zmian, których potrzebuje polska nauka. Z przyczyn oczywistych nasi rozmówcy zachowali anonimowość.

Mamy świadomość, że część z naszych propozycji to postulaty kontrowersyjne, czy wręcz radykalne. Ale stan polskiej nauki, a przede wszystkim marazm, który opanował nasze uczelnie, pokazuje, że i o nich powinniśmy zacząć dyskusyjować, aby wypracować odważne rozwiązania.

1 ZLIKUIDUJEMY HABILITACJĘ

Dyskusja o zniesieniu habilitacji trwa w Polsce od lat. Podejścia rządzących do likwidacji systemu, w którym wraz z habilitacją pracownik naukowy nabywa zdecydowanie większe prawa, usamodzielnia się, niejako awansuje do elity akademickiej, spotykały się z ostrym sprzeciwem części środowiska profesorów. Tak było przed czterema laty – na propozycję ministra szkolnictwa wyższego, żeby zlikwidować habilitacje, starsi naukowcy zareagowali listami otwartymi. Z drugiej strony młodzi wskazują habilitację jako jeden z czynników najbardziej zniechęcających do kariery naukowej. Według nich ten system ich blokuje, powoduje, że czują się spauperyzowani, a ostatecznie przekonywanie wielu młodych zdolnych naukowców do przejścia do prywatnych korporacji, gdzie ich talenty są dużo szybciej doceniane.

– Habilitacja wprowadza feudalno-mafijno-cechowy system zależności, gdzie ci, którzy otrzymali status samodzielnego pracownika są uprzywilejowani, a ci, którzy dopiero się o habilitację starają, nie mogą się im narażać, ponieważ będą przez nich oceniani – mówi młody pracownik naukowy PAN. Argumentem na rzecz likwidacji



Odideologizujmy uczelnie i wróćmy do „twardych” kierunków nauczenia i badania

habilitacji jest także to, że w tej formie co w Polsce, nie występują one niemal nigdzie na Zachodzie.

2 SKOŃCZMY Z REGUŁĄ: „KASA ZALEŻY OD ILOŚCI STUDENTÓW”

Dziś ilość środków, jakie otrzymuje uczelnia z budżetu zależy od tego, ilu ma ona studentów. System ten promuje przede wszystkim wielkie państwowe uczelnie. Zarazem prowadzi do tego, że uniwersytety nadprodukcują studentów. Ilość jest odwrotnie proporcjonalna do jakości kształcenia, co widać po wielu absolwentach opuszczających uczelnie. Masowość przyjmowania powoduje przeludnienie grup, nawał pracy dla nauczycieli, kolejkę do dziekanatów. W obliczu niżu demograficznego uczelnie, by nie zmniejszać liczby studentów, obniżają kryteria przyjmowania.

Co ciekawe, zarządzanie finansami na edukację wyższą, jak to z reguły bywa, jest bardzo drogim. Dotacja na studenta uczelni państwowej jest wielokrotnie wyższa niż czesne na uczelni prywatnej!

3 UCZCIWIE SPRAWDZAJMY ILE KTO PRACUJE, Z JAKIM EFEKTEM I OD TEGO UZALEŻNIAMY AWANS I ŚCIEŻKI KARIERY

Postulat blisko związany z propozycją zniesienia habilitacji. Procedury sprawdzające efek-

Młodzi naukowcy wskazują habilitację jako jeden z czynników najbardziej zniechęcających do kariery naukowej. Według nich ten system ich blokuje, powoduje, że czują się spauperyzowani, a ostatecznie przekonuje wielu młodych zdolnych naukowców do przejścia do prywatnych korporacji, gdzie ich talenty są dużo szybciej doceniane.

tywność zawodową pracowników nauki już są w Polsce wprowadzane, ale musi to zostać wzmocnione i egzekwowane z całą stanowczością. Póki co, naukowcy narzekają na siłowy tworzony przez „zasłużonych pracowników nauki”. Pracownik naukowy: – W moim instytucje mamy do czynienia ze „świętymi krowami” i „kolegami kolegów”, którzy się nie przemęczają, są nieusuwalni, bądź nawet oddelegowani na inne, nie-naukowe stanowiska, a wciąż generują koszty.

4 OGRANICZYMY BIUROKRACJĘ

Rozwiązanie to pozornie brzmi jak mantra powtarzana przy okazji każdego z ważnych problemów społecznych. Ostatecznie biurokracja przeszkadza w Polsce wszystkim – od budowlanów po służby mundurowe.

Ale w nauce otrzymała ona silnego sojusznika. Jest to tak zwany system boloński, mający ujednolicić zasady szkolnictwa wyższego w krajach Europy. Nauczycielom akademickim zasady systemu bolońskiego kojarzą się głównie ze znienawidzonymi sylabusami i steriami innych, często ewidentnie niepotrzebnych, dokumentów. Efektem jest to, że autentyczne nauczanie zastępowane jest przez swoiste postępowanie administracyjne, w którym zarówno studenckie zaliczenia, jak i kariera wykładowców, zależą od poprawnego wypełnienia skomplikowanych procedur biurokracyjnych, a nie od osiągnięć naukowych. Nasi rozmówcy narzekali, że według nowych standardów, każdy kurs musi mieć ściśle określone procedury i osiągnąć z góry określone efekty. – To powoduje, że prowadzący te kursy brną często w administracyjną fikcję, dbając tylko o to, czy wszystko odpowiednio „zaksięgowali”. A nie o rzeczywistą edukację z duszą – mówi jeden z naszych rozmówców.

5 WPROWADZMY ULGI NA FINANSOWANIE NAUKI

W Polsce 60 procent badań naukowych finansowanych jest z budżetu państwa. Średnia dla Unii Europejskiej wynosi 35 proc., a dla krajów grupy OECD – 30 proc. Polscy naukowcy, ci, którzy poświęcają się tylko pracy badawczej, narzekają na brak pieniędzy i warunków. Państwo narzeka niekiedy, że prywatny biznes nie chce prowadzić własnych badań. Prywatny biznes narzeka, że państwo nie wspiera prywatnych badań, które oprócz zwiększenia konkurencyjności naszej gospodarki, zwiększąby też liczbę miejsc pracy i możliwości działania dla naukowców. Rozwiązaniem mogłyby być system ulg finansowych. Cho

by możliwość odpisywania części CIT i PIT przez przedsiębiorców i osoby fizyczne na uczelnie/placówki naukowo-badawcze, ograniczyłaby monopol państwa w zakresie finansowania i stworzyłaby szanse na powstanie konkurencyjnych placówek prywatnych.

6 SKOŃCZMY Z MODELEM FINANSOWANIA GRANTÓW RODEM Z BAREI

System, w którym mamy do czynienia dzisiaj, przez akademickich złośliwców porównywany jest często z okresem dużych słomianych inwestycji, opisywanymi przez bajerowskie kino. Wynagrodzenia osób biorących udział w projekcie zależą od rozmiarów „Misia”. W ten sposób kluczowe staje się to, by słomiany, niepotrzebny „Miś” był dostatecznie drogi, a nie to, by komuś był potrzebny. Podobnie jest z wynagrodzeniami uczestników

dzisiejszych projektów grantowych – są one zależne od wysokości kosztów. Prowadzi to do sztucznego windowania kosztów takich projektów. Trudno znaleźć inne uzasadnienie dla takiego modelu finansowania grantów niż lenistwo intelektualne jego twórców. Koszt wykonania grantu nie musi oznaczać wcale, że więcej czasu, pracy, czy kompetencji musi mieć jego realizator.

7 WSPIERAJMY MŁODYCH ZDOLNYCH, A NIE UTYTUŁOWANYCH

Nasi rozmówcy zwracali uwagę, że potrzebna jest zmiana systemu finansowania grantów tak, żeby raczej wesprzeć finansowo naukowców najbardziej potrzebujących (młodzi pracownicy nauki), a nie utytułowanych o ustabilizowanej pozycji (profesorowie). – Obecnie w grantach Narodowego Centrum Nauki panuje taki system, że największe kwoty są przeznaczone dla „wybitnych naukowców”, podczas gdy najsłabszą sytuację finansową mają oczywiście pracownicy innych szczebli – mówi jeden z pracowników naukowych.

Zdaniem naszych rozmówców taki model prowadzi do utrwalenia systemu kastowego na uczelniach i zniechęca najzdolniejszych do kariery uniwersyteckiej.

8 ZMIENMY SYSTEM OBCIĄŻEN PRACĄ NA UCZELNIACH

Tę kwestię podnoszą przede wszystkim adiunkci, którzy muszą zrobić habilitację. Mają oni dużo więcej obciążeń dydaktycznych i promotorskich niż ich starsi koledzy po habilitacji czy profesorowie. Adiunkt na państwowej uczelni – Wymaga się od nas przejścia całej procedury habilitacyjnej, zarazem skutecznie odbiera się nam czas ku temu potrzebny.

9 SKONCENTRUJEMY ŚRODKI I UWAGĘ NA BADAANIACH PODSTAWOWYCH, A NIE PROJEKTACH IDEOLOGICZNYCH

Polityczne, odgórne, centralnie sterowane ustalenie tematów grantów czy badań zamówionych, znacząco wypacza rozwój nauki. Duża część z nich ma rozwijać technologie związane z ideologicznie motywowaną europejską polityką klimatyczną, które mogą okazać się chyblone. Pracownik naukowy: – W ostatnim konkursie w ramach 7. Programu Ramowego, jednego z największych mechanizmów finansowania badań na świecie i największego w UE, można znaleźć takie pomysły, jak: „Wyzwania związane z przemianami w basenie Morza Śródziemnego, przekazanie władzy młodzieży”. W warunkach arabskich rewolucji i przejmowania władzy przez skrajnie islamistyczne ugrupowania typu Bractwo Muzu-

mańskie tego typu temat, zwłaszcza znając tło ideologiczne UE, brzmi co najmniej groteskowo. Ponadto bardzo wspiera się wszelkie projekty społeczne noszące znamiona lewicowej inżynierii społecznej (np. związane z ideologią gender). Odwrotnie powinno być dążenie i naciskanie na UE, by finansowano zarówno w humanistyce, jak i przedmiotach ścisłych, naukowy „hard core”: tradycyjne kierunki nauki i badań niezależne od zwrotów ideologicznych.

10 OCZYŚCIĆMY NAUKĘ

Na to zwraca uwagę wielu z naszych rozmówców. W Polsce pozwala się na wiele więcej niż w innych krajach. Pełna akceptacja dla osób popełniających plagiaty, chronienie łapówkarzy, niewyjaśnianie spraw związanych z uwikłaniem we współpracę z komunistyczną bezpieką niszczą autorytet uczelni i na wstępie odzierają z szacun-

Możliwość odpisywania części CIT i PIT przez przedsiębiorców i osoby fizyczne na uczelnie/placówki naukowo-badawcze, ograniczyłaby monopol państwa w zakresie finansowania i stworzyłaby szanse na powstanie konkurencyjnych placówek prywatnych.

ku dla niej. Powoduje to bądź demoralizację na zasadzie „jeśli wejdziesz między wrony...”, bądź odrzucenie oraz to, że wielu naukowców czuje się wyalienowanych lub zachowuje jakby byli na emigracji wewnętrznej.

Autrzy serdecznie dziękują swoim rozmówcom. Redakcja „Konceptu” ma świadomość, że propozycji na reformę polskiej nauki jest dużo więcej, a zarazem wiele z przedstawionych powyżej budzi duże kontrowersje. Zapraszamy do dyskusji, polemik, wniosków.



Prof. Zdzisław Krasnodębski, filozof i socjolog, wykładowca na uniwersytecie w Bremie:



dr Paweł Kowal, eurodeputowany, historyk:

PRZYJMujemy Z ZACHODU TO, CO ZŁE, A NIE TO, CO DOBRE

Największym problemem jest niska konkurencyjność polskiej nauki i zablokowanie ścieżki awansu do ośrodka małego do dużego. Ten ruch awansu akademickiego jest z reguły wyłącznie pionowy – można się wspinać po poszcze-

gólnych szczeblach kariery. Słabe są też kryteria oceny i awansowania. Niestety „wysługa lat” wciąż odgrywa wiodącą rolę. Myślę, że konkurencyjnością mogłaby zwiększyć ograniczenie puli tytułów i stanowisk profesorskich.

Kiedyś patrząc z perspektywy Niemiec i porównując tamtejsze uczelnie z polskimi, dostrzegaliśmy pewne przewagi naszych. W Polsce nie było aż tak ścisłej specjalizacji. Była możliwość realizowania szerszych interesów badawczych.

Istniały kręgi zainteresowań, widać było wśród naukowców pasjonatów. Niestety, i to się ostatnio zmieniło na gorsze wraz z wzrostem specjalizacji i uczelnianej biurokracji, a do tego umasowaniem uczelni.

ZERO TOLERANCJI DLA PLAGIATÓW

Studia powinny zachęcać do aktywności oraz uczyć myślenia i tego, jak rozwiązywać problemy. Studenci powinni mieć również świadomość ważności formy – technik auto-prezentacji czy sztuki pisania listów. Istotne są też profesjo-

nalne kursy informatyczne, które nie tylko uczą studentów, jak korzystać z programów biurowych, ale pokażą dynamikę mediów społecznościowych. Jednocześnie wcale nie powinniśmy stawiać na e-learning. Należy rów-

nież zwiększyć dramatycznie niski poziom nauczania języków obcych na polskich studiach. Potrzeba bardziej osobistej podejścia wykładowców do studentów. W parze z zakazem pracy na kilku uczelniach powinno iść istotne zwiększe-

nie pensji naukowców. Należy wprowadzić zasadę „zero tolerancji dla plagiatów”. Studenci za udowodnionym plagiatem powinni być relegowani z uczelni, naukowcom powinno zakazywać się pracy na uczelniach na kilka lat.

NIK: POLSKA NAUKA MARNUJE PIENIĄDZE

To, że sytuacja finansowa polskiej nauki nie jest za dobra, czują na polskich uczelniach wszyscy. Teraz potwierdzenie znaleźli w raporcie Najwyższej Izby Kontroli, który niestety nie pozostawia na systemie finansowania polskiej nauki suchej nitki.

Jak wynika z raportu środki przeznaczone są na male, nieistotne projekty badawcze, które nie mają wpływu na gospodarkę; albo z definicji nie nadają się do praktycznego wykorzystania, albo nie są wdrażane.

Kontrolerzy NIK zwrócili uwagę, że duża część środków przeznaczanych na naukę ma na celu „rozwój i utrzymanie kadry” będąc w istocie „niewielkimi, niepowiązаныmi ze sobą programami badawczymi”. Mówiąc inaczej, pieniądze na badania trafiają do instytucji, które nie nadają się do praktycznego wykorzystania, albo nie są wdrażane.

NIK skrytykował to, że w Polsce nie przeznacza się większej ilości środków finansowych na duże badania, które miałyby wpływ na rozwój gospodarczy, postęp technologiczny, wzmacnianie pozytywne procesy społeczne. Nie dość tego, Najwyższa Izba Kontroli wskazała na ogromną ilość błędów i zaniedbań. To

efekt nieporadności naszych uczelni i ośrodków badawczych. Chodzi przede wszystkim o braki publikacji i nagłaśniania wyników badań, braki ogłoszeń do urzędów patentowych, nienależyte ocenianie dorobku naukowego. Ale NIK wskazywał także na świadome fałszerstwa – jak choćby kłamanie w sprawozdaniach z działalności naukowej.

Polska ma bardzo kiepskie wyniki pod względem liczby artykułów naukowych i ich cytowań oraz liczby zgłoszonych patentów. Lepsi są m.in.

Jak wynika z raportu środki przeznaczone są na male, nieistotne projekty badawcze, które nie mają wpływu na gospodarkę; albo z definicji nie nadają się do praktycznego wykorzystania, albo nie są wdrażane.

Czesi, Niemcy, Francuzi i Brytyjczycy. Problemem jest także to, że PAN i ministerstwo nauki wzajemnie obciążają się winą za tę sytuację, zamiast próbować ją poprawić. Źródło: Onet.pl, Polityka, NIK

JAK OBEJŚĆ MEJN STRIM BOKIEM I WDRAPAĆ SIĘ NA SZCZYT

JAKUB
BIERNAT

Nadzi nuda saro un ingan dzio gim mjodzja. Znacze? Na pewno! To przecież początek globalnego hitu „Gangnam Style”. Znalazienie teorii, która wyjaśniłaby dlaczego ludzie na całym świecie oszaleli na punkcie Koreańczyka śpiewającego o zadzierających nos dziewczynach z elitarniej dzielnicy Seulu, to nie mniejsze wyzwanie niż opis teorii strun kosmicznych.

Zjawiska szeroko pojmowanej kultury są nieprzewidywalne - czasami udaje im się wymknąć z ciasnego gorsu konwencji i komercji i zaczynają żyć własnym życiem. I dobrze. W końcu bez „Gangnam style” nie dowiedziałbym się, że i w Seulu mają swoje Miasteczko Wilanów.

„Gangnam style” to piosenka, która przedarła się do globalnej kultury - tańczył do niej i Bill Gates, i Madonna. Są jednak takie zjawiska, które stają popularne, choć nikt znany nie ma o nich bladego pojęcia - po prostu obchodzą mejnstrim bokiem i docierają do nas z najbardziej nieoczekiwanej strony. I tak rok temu z Rosji przyszedł do Polski Hardbass.

LUDZIE Z ROSYJSKICH BLOKOWISK

Z okazji 1 kwietnia w 2011 r. grupa didżejów z petersburskiego Radia Rekord postanowiła zorganizować imprezę w stylu GOP. Gopnicy to rodzaj rosyjskiej subkultury. Łatwo ich odróżnić - modelowy przedstawiciel tej grupy nosi czapkę typu kaszkiet, dresowe spodnie z lampasami, skórę „złodziejkę”, a na nogach obowiązkowo czarne buty borsuki. Gopnik posługuje się kryminalną gwarą, lubi popijać piwo, siedzieć w kucki i pogryzać pestki słonecznika. Ot, typowy wykwit postsowieckiej Rosji.

Didżeje przebrali się za rosyjskich dresiarzy i nagrali kultowy filmik tańcząc do swojej muzyki na jednym z petersburskich placów zabaw ulokowanym na typowym rosyjskim blokowisku. Miał to być jednorazowy występ, a okazało się utwór „Hardbass - Szkoła kolbasy” stał się hitem internetu. Co więcej, jego sława opuściła granice Rosji. Hardbass to rodzaj muzyki techno opartej na szybkim mocnym rytmicznym pulsie dźwięków basowych - a „kolbasa” to w rosyjskim slangu po prostu impreza techno.

GOP STAJĄ CZYLI ANARCHY PA POLSKI

I nagle młodzi ludzie z całej Europy Wschodniej polubili tytułową „Kolbasę”. Spontaniczne taneczne pochody hardbass do dźwięków rosyjskiego hitu zaczęto organizować w niemal całej Euro-

pie Środkowo-Wschodniej: od Belgradu do Gdańska.

Hardbass to społeczny nieporządek z przymrużeniem oka. Grupa ludzi zakłada maski lub kominarki, bierze ze sobą sprzęt nagłaśniający i do rytmu „Szkoły kolbasy” płaś w pochodzie ulicy swojej miejscowości - wbiega do sklepów i restauracji, czasami zakłóca lokalne festyny. Hardbasowcy upodobałi sobie odwiedzanie centrów handlowych, by trochę poprzeskadzać statecznym mieszczanom w świątyniach konsumpcji. W Polsce płaśają głównie kibole, jednak do agresji fizycznej nie dochodzi.

ZAKŁÓCANIE FESTYNU

Oto jak opisał imprezę hardbass kibiców Korony Kielce reporter portalu Niezależna.pl. „Uczestnicy zabawy wpadają w środek samorządowego festynu z okazji Święta Kielc. Na scenie ubrana w czerwoną suknię piosenkarka wykonuje właśnie utwór Anny Jantar. Ochrona ma mocno zaniepokojone miny. Tymczasem zamaskowani mężczyźni pomagają wokalistce w wykonaniu refrenu. +Nic nie może przecież wiecznie trwać!!!+ - ryczą wpraw-

wione kibicowskie gardła [...]. Piosenkarka, przed chwilą przestraszona inwazją, wyciąga do nich mikrofon. Mieszkańcy przybyli na festyn jeszcze trochę się boją, ale już zaczynają się śmiać, bo zestawienie słów piosenki z jej niespodziewanymi wykonawcami musi robić komiczne wrażenie. Później kielecka młodzież wybiera się poskakać w fastfoodowej świątyni komercji, wpisując się w ogólną hardbasową konwencję, gdyż tego typu przybytki często są nawiedzane przez imprezowiczów. Końcowym przystankiem jest wizyta na jakże miłym dla oka i podróżnych kieleckim dworcu kolejowym”.

GDZIE TEN MEJNSTRIM?

Nie wiem dlaczego hardbass to domem raczej małych miasteczek niż dużych miast. Gdy zajrzy się do youtube, pojawiają się filmiki z miast takich jak Chelmo, Pabianice, Kielce i z miejsc, gdzie istnieje silny ruch kibicowski, np. z Łodzi. Z innych dużych miast zostaje Trójmiasto, gdzie potancówka zgromadziła kilkadziesiąt osób.

Na Zachodzie ten sam typ muzyki na wielkich komercyjnych imprezach gromadzi kilkadziesiąt tysięcy osób, w Rosji hardbass to typowy wygłup, może z domieszką ideologii antynarkotykowej, a w Polsce niemal polityka. Przed Euro 2012 kibice reagowali nerwowo na zapowiedzi „anty-kibolskich” akcji, ustawy o zakazie zamaskowania twarzy na ulicy itp. Hardbass był dla nich sposobem na zmanifestowanie swojej anarchicznej duszy i wprowadzenie odrobiny niepokoju w stabilne życie III RP.

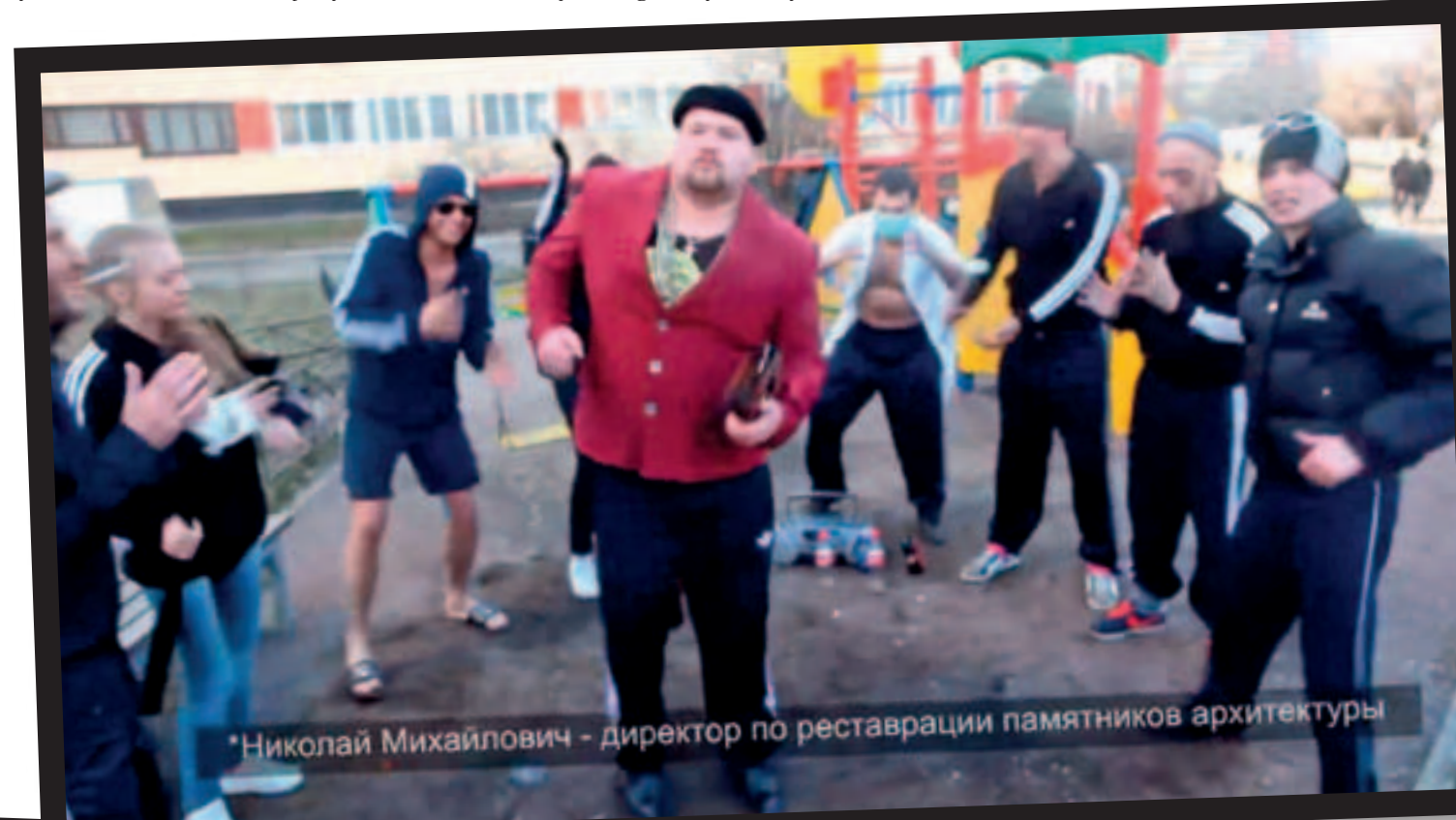
nie na przekazywaniu wiedzy, czy hierarchii, ale na czystych emocjach. Hinduski intelektualista podkreśla rolę wyobraźni w tworzeniu społeczeństwa, która jest dziś nie tylko ucieczką, ale podstawową platformą działania. Jego zdaniem wyobrażenia zafoszerowane przez media nie są tylko fantazjami odrywającymi ludzi od realnych problemów - są źródłem kształtowania podmiotowości, tworzenia współczesnych tożsamości i uczuciowych wspólnot wyobrażonych. W sytuacji, w której internet jest medium praktycznie anarchoanarchicznym niestandardowe sytuacje społeczne mogą pojawiać się praktycznie znikąd - choćby jak hardbass w Polsce.

LUDZKOŚĆ JAK ŻYWIÓŁ

Dr Aleksander Tarkowski, socjolog internetu zwraca uwagę na teorię hinduskiego socjologa i antropologa Arjuna Appadurii o pojawiającym się coraz częściej zjawisku wyobrażonych wspólnot, które oparte są

Zdaniem Tarkowskiego ludzi łączy wspólne przeżywanie obrazów, a szczególnie treści komicznych, które najłatwiej odłączają się od kontekstu lokalnego. - Nie wiem skąd to się bierze, ale na pewno specjaliści od promocji marek muszą gryźć paznokcie z zazdrości, gdy nagle jakiś niszowy filmik zamienia się w globalne zjawisko - bez wsparcia finansowego, medialnego czy jakiegokolwiek przemysłowej kampanii. Po raz kolejny okazuje się, że ludzkość jest żywołem, w której hierarchia jest li tylko efemerydą - mówi Tarkowski.

Boreperum ullut prem quis ut voluptu sdante ipsa simpotium nim de sam, nis se sitasit aspe molori ipsam que volore pliqui a no



*Николай Михайлович - директор по реставрации памятников архитектуры



*МС Жан - самый известный МС страны, примерный семьянин

Z członkiem grupy „Szkoła Tańców Hardbass” Konstanym Brownem (DJ MatrasSs) rozmawia Jakub Biernat:



HARD BASS ŁĄCZY NARODY

Popularność waszego utworu „Szkoła kolbasy” - przekroczyła granice Rosji. Gdy w youtube wpisze się hasło hardbass, wyskoczą dziesiątki filmików młodych ludzi z Europy Wschodniej tańczących do waszej piosenki.

- Tak naprawdę ten utwór zatyłowaliśmy „Nasz hymn”. To pierwsze nasze dzieło, które zyskało tak wielką popularność. Muzyczka szybko poszła w masy i stała się prawdziwym hymnem hardbaserów na świecie - także w grupie polskich kibiców. Jesteśmy przyjemnie zaskoczeni, że w sieci pełno filmików z Polski z ludźmi tańczącymi do naszej muzyki.

Czym jest ruch hardbass w Rosji? U nas tańczą do niej przede wszystkim kibice futbolu z różnych klubów - protestując przeciwko naruszaniu ich praw.

- Hardbass w Rosji to odłam muzyki pumping-house, który stał się już oddzielnym typem undergroundowej muzy-

ki klubowej - charakteryzującym się twardszym i bardziej agresywnym dźwiękiem. Szkoła tańców hardbass wytworzyła subkulturę, która stała się popularna wśród tinejdżerów. Nasza ideologia to sport, zdrowy tryb życia bez narkotyków. To, że w Polsce kibice wybrali nasze utwory - to bardzo dobrze. Jednak my żadnych politycznych czy prowokacyjnych treści w nasze utwory nie wstawiamy. Główna idea to zdrowy sposób życia - to co nastąpiło dalej, to wyłącznie fantazja naszych odbiorców.

Jak pan wytłumaczy, że niektóre dosyć hermetyczne utwory dzięki internetowi nagle stały się popularne na drugim końcu świata, choć utraciły kontekst. Mam na myśli waszą piosenkę czy utwór „Gangnam style” opowiadający o elitarniej dzielnicy Seulu?

- To prawda - śpiewamy po rosyjsku i wielu krajach ludzie tego nie rozumieją. Jednak to nie przeszkadza naszej popularności. Co do koreańskiego rapera PSY, to jego sukces bierze się z niesamowitego klipu i jego wyjątkowo zabawnych ruchów. Sądzę, że w naszym przypadku także dużą rolę odgrywają teledyski. Najważniejsze, że liczba naszych fanów rośnie i znajdujemy kolejne filmiki z tańcami hardbaserów. To cieszy - hardbass łączy ludzi - tańczcie hardbass :-).

PAPIER POTĘŻNIEJSZY NIŻ ARMIA

JAROSŁAW HEINZE

Myslicie, że Napoleon przegrał pod Waterloo, bo zwyciężył go geniusz Wellingtona? Błąd. Losy I wojny światowej rozstrzygały się pod Verdun i nad Sommą? Prawie. Decydujące znaczenie w wielu kluczowych momentach historii świata miał... Bond. A konkretnie rządowy bond, czyli obligacje.

Każdy z nas jest przekonany, że pewnych rzeczy w życiu nie robi. Gdybym usłyszał głos z niebios, że warto obejrzeć transmisję z zawodów w lyżwiarstwie figurowym, musiałbym odmówić: „przepraszam Cię istoto Niebiańska, ale nie dam rady, chyba, że życysz mi śmierci przez zanudzenie”. Podobnie jest z pizzą hawajską – w życiu nie tknę mięsa z dodatkiem czegoś żółtego i słodkiego. Te same uczucia towarzyszyły mi kilka lat temu, kiedy słyszałem słowa „rynek obligacji”. Moje zachowanie przypominało reakcję kąpiących się w oceanie ludzi na wrzask ratownika: „REKIN!!!”. Uciekałem szybciej od swojego cienia. Do czasu. Zafrapował mnie pewien cytat: „Dawniej, kiedy zastanawiałem się, czy istnieje reinkarnacja, chciałem odrodzić się jako prezydent, papież, albo znany baseballista. Ale dziś, chciałbym się wcielić w rynek obligacji. Wszyscy by się mnie bali”. O takim życiu po życiu marzył James Carville, amerykański spec od kampanii wyborczych, twórca clintonowskiego hasła „Gospodarka, głupcze!”.

Z dwójga złego (reinkarnacja, obligacje) wybrałem tortury nr 2. I choć daleko mi do fakira - okazały się całkiem przyjemne, a nawet pouczające. Przede wszystkim, te niewinnie wyglądające papiery mają faktycznie potężną moc rażenia i to od jakichś ośmiuset lat. Wymyślony przed obligacjami kredyt, ze swoim wpływem na losy świata, musiał popaść w kompleksy.

No, ale jeśli decyduje się o losach wojen i państw, to poprzeczka zawieszona jest faktycznie wysoko.

JAK MAŁYSZ WYGRAŁ Z KLICZKO

Obligacje wymyślił Włosi, by zaraz potem wykorzystał je jako oręż w bratobójczych wojnach. Oręż, dodajmy, o wiele bardziej skuteczniejszy niż katapultы, kusze i piki. Florencja, Wenecja, Piza, Genua, czy Siena – które z tych ówczesnych miast-państwów szybciej i sprytniej potrafiło zadłużyć się u swoich obywateli, przechyliło szalę potyczek na swoją stronę. Przeganił się w tę i w tę w zależności od zasobności skarbcia i ilości ciasta na pizze w karczmach.

Zawsze mnie też zastanawiało, jak to możliwe, by taka Holandia przez 80 lat (XVI-XVII w.) z powodzeniem stawiała czoła Hiszpanii. Przecież to tak, jakby w ringu spotkał się z Kliczko z Małyszem i ten ostatni nie tylko przetrwał wszystkie rundy, ale wygrał walkę na punkty! Rozwiązanie zagadki okazuje się proste. Holendrzy - już wówczas naród kupców - zmienili Amsterdam w rynek typu papierów wartościowych. Uplynniali z powodzeniem swoje obligacje nie tylko w kraju, ale i za granicą. Za zebrane w ten sposób pieniądze ściągali z całej Europy wojska gotowe stanąć naprzeciwko hiszpańskiej potęgę. Pelné sakwy dodawały odwagi. Południowcy byli bardziej konserwatywni

nymi finansistami – niezym szarańcza grabili podbijane ziemie, opłacając z tego swoją armię. Kiedy zaczęło braknąć środków (ile można kraść wielokrotnie okradzionych?), Hiszpanie zwracali się o pomoc do możliwych tego świata. I zderzyli się ze ścianą. To nawet zrozumiałe, że nikt nie chciał pożyczyć pieniędzy koronie, która w 1557, 1560, 1575, 1596, 1607, 1627 oraz 1647 roku częściowo, albo w całości anulowała wypłaty dla swoich wierzycieli. Efekt? W 1648 r. Hiszpania uznała niepodległość Holandii (wtedy Republiki Zjednoczonych Prowincji).

TO SIĘ NAZYWA AMERYKAŃSKI LĘB!

Dwa wieki później pojawili się prekursorzy obligacji wyposażonych w „poduszki bezpieczeństwa”. W trakcie wojny secesyjnej, amerykańskiej konfederacji (nie wolnictwo? „I like it!”) wpadli na genialny pomysł. Żeby przekonać Europejczyków do zakupu konfederackich obligacji (tylko samą finansowania wojny z unionistami), zabezpieczyli je bawelną – swoim najważniejszym towarem eksportowym, bez którego np. angielski przemysł włókienniczy leżałby i kwiczał. Giełdy w Londynie i Amsterdamie polknęły haczyk. Z początku obligacje konfederatów rozchodzily się na Starym Kontynencie jak świeże bułki. I wtedy zafunkcjonowała znana od wieków reguła: „kto ma dużo, chce mieć jeszcze więcej”. Jakiś ekonomiczny lew konfederacki wpadł na pomysł, jak tu sprzedawać więcej papierów dłużnych i na lepszych warunkach. – Nałóżmy embargo na dostawę bawełny do Europy, jej ceny poszybują

góra, wtedy nasze obligacje zabezpieczone bawełną sprzedamy na piu na super warunkach! – te argumenty przekonały wojsków z amerykańskiego południa. Faktycznie, wkrótce po ogłoszeniu embargo ceny bawełny wzrosły o ponad 400 proc., a brytyjski establishment finansowy i polityczny traktował zakup konfederackich obligacji jako święty obowiązek (deficyt amerykańskiej bawełny doprowadził bowiem do zamieszek, bezrobocia i głodu 300 tys. pracowników przemysłu włókienniczego i ich rodzin). Ale konfederaci wpadli w pułapkę swojej zachłanności, nie przewidzieli jednej jakże prostej rzeczy – podczas wojny miasta zdobywa się i traci. Kiedy w 1862 roku unioniści zdobyli Nowy Orlean, będący głównym por-



tem i oknem na świat konfederatów, 3 mln funtów, jakie miały trafić do kieszeni południowców ze sprzedaży obligacji bawelnianych, pozostały w sferze marzeń. To właśnie zajęcie Nowego Orleanu okazało się punktem zwrotnym w wojnie secesyjnej, trzy lata później wygranej przez unionistów.

BEZ PALIWA NIE POJEDZIESZ

Wynik wojen napoleońskich też mógłby być inny, gdyby nie zderzyły się ze sobą dwa odmienne systemy finansowe. Francuski – sprowadzający się głównie do grabieży podbitych narodów (vide wspomniana wcześniej Hiszpania) i brytyjski – oparty na długu publicznym (kłaniają się obligacje skarbowe). Waterloo (1815) okazało się nie tylko triumfem Wellingtona nad Napoleonem, ale również początkiem kariery rodu Rothschildów, stojące się obligacje skarbowe. Waterloo (1815) okazało się nie tylko triumfem Wellingtona nad Napoleonem, ale również początkiem kariery rodu Rothschildów, stojące się obligacje skarbowe.



Staś mi z jarmarku przywiózł pierścionek, Kazio prześliczny róż wianek. Jaś ofiarował Pożyczkę Złotą Więc, Jasiu, tyś mój kochanek

Obligacje to najnudniejszy z towarów, który miał największy wpływ na dzieje świata. Pora więc skończyć z obligacyjnym nudziarstwem. Tylko niech znajdzie się taki, który opracuje grę komputerową o rynku obligacji, ich znaczeniu w historii świata a stanie się ona większym hitem rynkowym niż „Call of Duty”, „Warcraft”, „Cywilizacja” czy „Battlefield”. Wyzwanie godne Nobla, może nawet pokojowego.

Pieter van der Heydel „Bój o pieniądze” (XVI w.). W której skrzyni zdeponowano obligacje?

walczące kraje rozkłębiły akcje propagandowe zachęcające do kupowania obligacji wojennych. Gdyby to portfele drobnych ciulaaczy miały decydować o tym, kto uzbiera najwięcej pieniędzy na finansowanie wojny, może Niemcy już w 1918 roku zawojuowałyby Europę, a Austro-Węgry istniały do dziś. Jednak dostęp do dużej kasy zapewniało dopiero zadłużanie się na rynkach międzynarodowych. W początkach XX wieku Berlin i Wiedeń wzgardziły rynkiem amerykańskim, a w czasie wojny nie zostały już tam wpuszczone, w przeciwnieństwie do Wielkiej Brytanii, Francji czy Rosji. Znowu dostęp do oceanu, a nie jeziora pieniądza dłużnego okazał się kluczem do zwycięstwa.

Ktoś się może oburzyć i twierdzić, że to przecie strategie wojenne, zdolności (bądź nieudolności) generałów decydowały o triumfach i porażkach. Jest w tym trochę racji, ale nawet najlepszy samochód można sprzedać na kilogramy do skupu złomu, jeśli nie ma dostępu do paliwa.

Polskie „dziesięciolatki” mają się nieźle. Każde znaczące tapniecie gospodarki może jednak oznaczać, że państwo będzie musiało zapłacić ich właścicielom więcej niż planowało



70 BILIONÓW DOLARÓW W OBROTCIE

Dziś w światowym obiegu finansowym znajdują obligacje o wartości ok. 70 bilionów dolarów (zarówno te wypuszczone przez państwa, jak i korporacyjne). Lepiej nie kusić losu i nie przeceniać tej kwoty na to, kto ile wojen, by wygrał i z



Dla amerykańskich konfederatów zabezpieczenie obligacji bawełną okazało się totalną porażką

NIEBIESKO Jednak warto było budować stadiony?

Po Euro 2012 Polska odnotowała najwyższy wzrost wartości marki narodowej o

75%

Przed mistrzostwami 269 mld USD

Po mistrzostwach 472 mld USD

Źródło: Raport spółki PL.2012

CZARNO Brakuje utalentowanych pracowników

10 zawodów, w których zdaniem polskich pracodawców, występuje największy deficyt kandydatów z talentem

1. Inżynierowie
2. Wykwalifikowani pracownicy fizyczni
3. Technicy
4. Kierowcy
5. Przedstawiciele handlowi
6. Pracownicy działów IT
7. Szefowie kuchni/kucharze
8. Menedżerowie projektów
9. Operatorzy maszyn
10. Pracownicy księgowości i finansów

Źródło: Raport „Niedobór talentów” autorstwa ManpowerGroup (2012)

PROGNOZA PRAWDZIWA

Na początku małe zastrzeżenie. To prognoza pogody długoterminowa, bo aż roczna. A w tym przypadku może być jak z planowaniem długoterminowego związku między dwojgiem ludzi - domyślamy się jak będzie, ale życie różne scenariusze pisze. No, zatem do rzeczy.

POLSKA

Niestety, przyszły rok może stać pod znakiem opadów. Człowiek meteorolog, zarówno ci licencjonowani, jak i wróżbici zapowiadają, że padać ma sporo – zwłaszcza przedsiębiorstw i małych firm. Opady nie miną też podstawowych wskaźników: konsumpcji, inwestycji,

PKB. Trzymać ma się dobrze właściwie tylko eksport, ale w jego przypadku to nawet bardzo prawdopodobne – przecież wysyłany jest za granicę, a tam opady mogą być mniej dokuczliwe. Zwłaszcza jeśli naszym priorytetem eksportowym uczynimy kraje afrykańskie. Nie ma co jednak popadać w pesymizm, bo główne ośrodki odpowiedzialne za sytuację atmosferyczną w naszym kraju opracowały już plan zwalczania opadów. Będzie to wprawdzie ingerencja w prawa natury, ale czego się nie robi, by rodzacy mogli częściej się opalać niż moknąć. Plan ten nosi nazwę „Inwestycje Polskie” i polega na tym, że zebrane przez państwo

pieniądze mają tak rozruszać robotę na terenie całego kraju, że padać i opadać nie będzie nic. Jeśli w lipcu będzie ciepłej niż w lutym, znaczy, że plan spełnił swoje założenia. Dodatkowo, w przyszłym roku ma zacząć obowiązywać ustawowy zakaz szerzenia mowy nienawiści, co też będzie miał znaczący wpływ na poprawę atmosfery w naszym kraju.

EUROPA

Na Starym Kontynencie w 2013 roku coraz wyraźniej dostrzegalna będzie polaryzacja pogody. Berlińskie ośrodki meteorologiczne podejmą próbę rozciągnięcia wyżu znad Niemiec na pozostałych 16 państw strefy euro. Nie wiadomo jednak, czy niemieckie słońce przebijie się przez deszczowe chmury zamoczone już od dłuższego czasu nad Półwyspem Iberyjskim i Morzem Egejskim. Nad pozostałymi 10 państwami Unii mogą pojawiać się od czasu do czasu intensywne burze z piorunami, które nadciągną z zachodu – właśnie z Berlina, ale również Paryża czy Brukseli. Ta ostatnia zresztą, widząc przyszłoroczne prognozy pogody, wybudowała z unijnej zrzutki ogromnych rozmiarów solarium. Stamtąd zamierzają obserwować gromadzące się nad Europą chmury i zamieniać je w słońce. Na papierze.

TEAM „GUDBAJ” – WROGOWIE PUBLICZNI PODHALA

AGNIESZKA RUCIŃSKA

Patryk i Józek Galica. Dwaj górale z Poronina, syn i ojciec. Obaj stawni na Podhalu. Jeden zdobywa tytuły sportowe, drugi jest wrogiem publicznym nr 1, obecnie osadzony w więzieniu. Niechętnie udzielają wywiadu, bo czują się skrzywdzeni przez lokalną prasę. Nam udało się nakłonić ich do zwierzeń, choć rozmowa z Józkiem przebiega przez telefon, a w tle słychać współwzięniów. Patryk siedzi obok. O góralskim honorze i życiu w cieniu agencji towarzyskiej rozmawia Agnieszka Rucińska.

Poronin. Malownicza wieś położona u podnóża Tatr, tuż przed wjazdem do Zakopanego. Do niedawna kierowcy jadący przez Poronin Zakopianką, mogli spostrzec potężny fileto-sty neon, umieszczony na zboczu jednego ze stoków, widoczny również za dnia. Dziś już sławny napis „Go Go” nikogo nie zaprasza, bo agencja towarzyska, którą przez wiele lat prowadzili trzej bracia Galica, zwani przez Podhalań „Gudbajami”, stoi pusta. Bracia zdecydowali się bowiem zamknąć dochodowy, acz moralnie wątpliwy, interes w dniu śmierci papieża Jana Pawła II.

- Józek, co was skłoniło do zamknięcia tak dobrze prosperującego biznesu?

Józek: Papież zawsze był dla nas Największym Gazdą. W dniu jego śmierci siedliśmy ściska w naszej matki w chałupie i jednogłośnie postanowiliśmy, że w hołdzie Ojcu Najświętszemu musimy zamknąć ten biznes.

- Prowadziliście go dość długo i podobno żyła z niego cała wasza rodzina?

Józek: To prawda, ale cała rodzina miała tego dość (śmiech).

- Jak było za czasów agencji w waszej rodzinie? Jak na to reagowała żona, dzieci?

Józek: Żona tam nigdy nie przyszła i nigdy nie rozmawiała ze mną o agencji. Wiedziała o niej, ale chyba nie chciała o tym myśleć.

Patryk: Mama zawsze była za tatą, nieważne co robił albo co mówili inni. Wiedziała, jakim człowiekiem jest naprawdę i ufała mu.

- Patryk, byłeś małym chłopcem, kiedy tata i wujowie otwierali agencję. Jak wtedy na to patrzyłeś?

Patryk: Tak samo jak i teraz. Czyli normalnie. Często tam bywałem. Tam był przecież także nasz garaż i warsztat! Zresztą często rozmawiałem z tymi dziewczynami. Może jeszcze wtedy nie do końca rozumiałem, co się tam dzieje, myślałem o tym miejscu jak o zwykłym klubie dyskotekowym. A te dziewczyny były dla mnie całkiem normalne. Zawsze uśmiechnięte i mile.

A niektóre z nich dość mocno powykształcane. Mam na myśli studentki.

- A propos dziewczyn - Józek, to zdaje się za ich sprawą trafiliście do więzienia?

Józek: Wszyscy trzej trafiliśmy. Ale to nie do końca prawda, że przez dziewczyny. Owszem,

oskarżala nas jedna z nich, ale wydaje nam się, że kto inny za tym stał. Nie chciałbym teraz mówić o swoich podejrzaniach.

- Jakie właściwie postawiono wam zarzuty?

Józek: Handel ludźmi, znęcanie się nad dziewczynami i przetrzymywanie ich na siłę.

Patryk: Znęcanie się! Ha ha! Tyle razy tam byłem i zawsze panowała wesoła atmosfera! Dziewczyny były wyluzowane i zawsze ze mną żartowały, jeździły na Krupówki, robiły co chciały! Nikt ich nie pilnował poza pracą!

Józek: No a handel ludźmi? Przecież jak klub sportowy sprzedaje swojego zawodnika do innego klubu, to nikt jakoś nie krzyczy, że to jest handel ludźmi!! I taka była u nas linia obrony, ale sędzia wiedział swoje.

- Czyli wymiana dziewczyn między agencjami odbywa się tak jak pomiędzy klubami sportowymi?

Józek: Trochę tak, ale nikomu tego nie mów, to tajemnica handlowa (śmiech).

- A co dzisiaj dzieje się w tym budynku?

Józek: Nic. Stoi pusty od 6 lat. Dopóki nas nie zamknęli, korzystał tylko z budynków gospodarczych, które stoją na podwórku, bo mieliśmy tam nasz warsztat mechaniczny i zakład blacharski. Mój brat Janek to zapalny konstruktor-mechanik. Zawsze przygotowywał tam Patrykowi sprzęt na zawody.

- Sławny „Team Gudbaj”. Patryk, jesteś wielokrotnym mistrzem Europy w motocrossie. Podobno tata jest twoim trenerem, a wujowie Janek i Tadek są twoimi mechanikami? Razem tworzący team nie do pobicia. Przecież ty zwycięzasz we wszystkich zawodach!

Patryk: (śmiech) Tak, prawie we wszystkich. To rzeczywiście tata kupił mi pierwszy motor jak miałem 6 lat, z ciekawości czy mi się spodoba. Ale już dużo wcześniej sadzał mnie na własny motor i tak chyba zaszczepiał we mnie pasję.

Bo cross to moje całe życie, nie wyobrażam sobie większego szczęścia niż to, kiedy skaczę 30 metrów w górę na motorze. Ale musiałem na to wszystko zasłużyć pracą, np. pomagalem im w warsztacie. Cieszyło mnie siedzenie w kanale i łubanie przy motorze. Większość czasu spędzałem zawsze z tatą i z wujami, mniej z kolegami. Jestem dzisiaj wdzięczny tacie! On mi nie tylko pokazał ten sport, ale też mnie potem

motywował do ciężkich treningów, kiedy miałem chwile zwątpienia.

- A byli takie?

Patryk: No pewnie! Na przykład kiedy byłem zmęczony po szkole i wolałem iść do domu, tata zawsze pilnował, żebym nie opuszczał treningu. I nigdy nie robił tego na siłę, tylko tłumaczył i próbował mi uświadomić, że potem będę żałował, jak mi coś nie pójdzie. I zawsze uczył mnie, że jak coś nie pójdzie, to żebym miał pretensje tylko i wyłącznie do siebie, a nie do całego świata.

- Wygląda na to, że tata jest także twoim mentorem?

Patryk: Tak, dziękuję Panu Bogu za najlepszego ojca na świecie!

Józek: (śmiech) Patryk zawsze jest bardzo elokwentny jak udziela wywiadu!

Patryk: No, ale tato! To prawda! Zresztą Sara i Blanka to potwierdzą!

- To twoje siostry?

Patryk: Tak, Blanka ma 20 lat, czyli jest starsza rok ode mnie, a Sara 7. Jak nie mam teraz z kim pogadać, to gadam z nią, bo jest bardzo podobna do taty (śmiech).

- Podobno miałeś jakieś problemy w sporcie, kiedy tata i wujowie trafili do więzienia?

Patryk: Odwrócił się ode mnie sponsorzy. Jak mi ich wszystkich zabierali do więzienia, to była taka strata, że wydawało się, że to już koniec wszystkiego. Potem się okazało, że nie ma nikogo, kto dalej chciałby sponsorować Team Gudbaj, bo Team Gudbaj siedzi w więzieniu i to zła reklama dla sponsora. A wiadomo, sprzęt jest drogi i praktycznie w tym sporcie każdy motor jest tylko na raz. Trzeba co chwilę wymieniać na nowy, bo inaczej zostanie się w tyle. Ja i tak nie dawałem za wygraną i brałem pierwsze miejsca na starym sprzęcie. Chciałem pokazać, że „chłopaki od owieczek” też coś potrafią!

- Czyli Podhale jest z ciebie dumne?

Patryk: No i tu jest właśnie problem. Gazety zawsze o moich wynikach pisały chętnie i pisały prawdę, tak jak im powiedziałem. Ale znowu z taty i z wujów zrobili najgorszych potworów!

Józek: „Tygodnik Podhalański” nazywał nas „falszywami z Poronina”.

- Czy tak było w związku z waszym aresztowaniem?

Józek: A skąd! To było na długo przed całą aferą! Chodziło o zamknięcie agencji w dniu śmierci papieża. Ludzie gadali, że to wszystko tylko na pokaz, że chcemy zrobić show! I że na pewno otworzymy ją z powrotem, tylko pod jakąś przykrywką. A gazety chciały na naszej krzywdzie zarobić - „Angora” i „Tygodnik Podhalański” pisały, że zrobiliśmy to dla sławy i dla pieniędzy!

To ja się pytam dla jakich pieniędzy? Dziś moglibyśmy nie robić nic, tylko liczyć kasę np. z dzierżawy tego budynku. Zgłaszają się do nas ludzie z całej Polski i chcą to dzierżawić albo kupować, żeby też tam prowadzić agencję. A my nie chcemy! Dalismy słowo, a słowo droższe od pieniądza! Jak obiecaliśmy, że agencji nie będzie, to nie będzie! A ductki to nie sićko! Może teraz jest biednie, ale bardziej honorowo!

- Z czego dzisiaj utrzymuje się wasza rodzina?

Józek: Jest ciężko. Jeszcze na wolności jakoś dawaliśmy radę - Janek reperował auta w warsztacie, a ja z Tadkiem wzięliśmy się za handel nieruchomościami, bo mamy trochę ziemi do sprzedania. Ale w tej chwili wszystko siadło. Żona też nie może znaleźć pracy, bo nikt jej nie chce zatrudnić tylko dlatego, że jest moją żoną. Żyjemy głównie z pomocy od dobrych ludzi. Wiem, że jak wyjdę, to będę musiał za to pomóc

się jakoś odwdzięczyć. Ale to bardzo ciekawe, że pomogli nam ci, po których się nie spodziewaliśmy żadnej pomocy. Pomogła nam lokalna firma, której właściciele też mają problemy z gazetami i z ludźmi tu, na Podhalu. Chyba oni najlepiej nas rozumieją.

- Ale za co właściwie górale was tak nienawidzą?

Józek: Może za to, że my też jesteśmy góralami i splamiliśmy honor góralski jak otworzyliśmy agencję? Na przykład ksiądz proboszcz próbował nakłonić nas do zamknięcia agencji, chodził i zbierał podpisy wśród parafian. Tak nas to denerwowało, że nawet jakbyśmy chcieli to zamknąć, to na złość jemu pewnie byłoby tego nie zrobili.

- Chodziliście w tamtym czasie do kościoła?

Józek: No pewnie, że chodziliśmy! Zarówno ja, jak i moi bracia zawsze chodziliśmy do kościoła, chociaż ksiądz nas tam wcale nie chciał widzieć. Ani inni parafianie. Nigdy też nie udzielił nam rozgrzeszenia przy spowiedzi, więc nigdy nie mogliśmy dostać oplatka. Ludzie zastanawiali się, jak ktoś taki jak my może w ogóle wejść do kościoła. Ale my tam staliśmy zawsze z podniesioną głową, bo wiedzieliśmy, że nikomu nie robimy tym krzywdy.

- Czy to znaczy, że lubiliście swoją pracę?

Józek: I tu byś się właśnie mogła pomylić! Patryk: Tylko my widzieliśmy, jaki tata przychodził zestresowany, ile go to nerwów wszystko kosztowało!

Józek: To prawda. To ciężki kawałek chleba i my wszyscy trzej od dawna myśleliśmy o zamknięciu. Tylko brakowało nam sensownej motywacji. No bo po co zamykać super dochodowy interes, kiedy się nawet nie ma nic innego na oku?

- Właśnie: po co?

Józek: To było jak objawienie! Kiedy papież zmarł, wszyscy trzej poculiśmy to samo, nie musieliśmy nawet tego rozważać. Wiedzieliśmy, że to jest ten moment i po prostu nagle bardzo tego zapragnęliśmy, bez względu na to, co będzie dalej.

Patryk: U nas w domu zawsze żyło się zgodnie z przykazaniami i bardzo po bożemu. Tata zawsze powtarzał, że „bez Boga ni do proga!”

Józek: Nikt tego nie mógł zrozumieć, jak tacy grzesznicy jak my mogąc w ogóle mówić o Bogu. Tymczasem ja modliłem się do Boga, żeby te agencje zamknęły. Tylko nie miałem odwagi, bo nie wiedziałem co będzie dalej, z czego będziemy żyć.

Patryk: I to niewłaściwa droga. Tłumaczę moim więziennym kolegom, którzy stracili wiarę we wszystko, że zyskują nową siłę, kiedy zaczną działać zgodnie ze swoim sumieniem, tak jak ja zrobiłem. Staram się ich przekonać, że Bóg jest, trzeba tylko w niego wierzyc, modlić się i przyciągać same dobre myśli. Tak mi mama przekazała, tak przekazałem to swoim dzieciom, a teraz przekazuję moim współwzięniom. No i dzisiaj, po prawie dwóch latach odsiadki, nasza kaplica już nie świeci takimi pustkami w czasie mszy jak dawniej (śmiech).

- Czyli uważasz, że te siły zawdzięczasz decyzji o zamknięciu agencji. A czy taką samą siłę mają teraz twoja żona i dzieci? Im może być ciężiej niż tobie.

Józek: Pod pewnym względem na pewno jest im ciężko, pod finansowym. Ale poza tym tworzymy miłą i zgraną rodzinę. Team Gudbaj to nie tylko Patryk, ja i bracia (śmiech)! Mam najważniejszą żonę na świecie. Zawsze wiedziałem, że darzę mnie bezwarunkowym zaufaniem, dlatego nigdy go nie nadwyryłem i zawsze wiedziałem, że moja żona zrobi i przetrzyma dla mnie wszystko. Także teraz.

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)

- Choć cała reszta Teamu Gudbaj siedzi w więzieniu, mama wciąż nie może spać spokojnie, przynajmniej jeśli chodzi o ciebie, bo cały czas jeździsz na zawody?

Patryk: Postanowiłem tacie i wujom pokazać, że nie zmarujemy tych wszystkich lat i sam wygram Mistrzostwa Europy. Nie spałem, harowałem jak wół na budowach na nowy sprzęt, trenowałem na pożyczonych motorach i udało się! Tak bardzo chciałem to zrobić dla taty i dla całej rodziny, żeby pokazać, że my się nie poddajemy! Tak bardzo się uparłem, że musiało się udać!

Józek: I udało się! Jestem z niego bardzo dumny. Patryk: A ja jestem dumny, że należę do tego teamu. Choćby nadal nazywali nas „falszywami z Poronina”!

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)

- Choć cała reszta Teamu Gudbaj siedzi w więzieniu, mama wciąż nie może spać spokojnie, przynajmniej jeśli chodzi o ciebie, bo cały czas jeździsz na zawody?

Patryk: Postanowiłem tacie i wujom pokazać, że nie zmarujemy tych wszystkich lat i sam wygram Mistrzostwa Europy. Nie spałem, harowałem jak wół na budowach na nowy sprzęt, trenowałem na pożyczonych motorach i udało się! Tak bardzo chciałem to zrobić dla taty i dla całej rodziny, żeby pokazać, że my się nie poddajemy! Tak bardzo się uparłem, że musiało się udać!

Józek: I udało się! Jestem z niego bardzo dumny. Patryk: A ja jestem dumny, że należę do tego teamu. Choćby nadal nazywali nas „falszywami z Poronina”!

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)

Józek: I udało się! Jestem z niego bardzo dumny. Patryk: A ja jestem dumny, że należę do tego teamu. Choćby nadal nazywali nas „falszywami z Poronina”!

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)



Team Gudbaj w szczytowej formie. Józek, Tadek, Janek, na górze Patryk



dy uważa, że jak ktoś raz coś ukradł, co całe życie musi być złodziejem. A przecież w ludziach jest dobro! Tu w więzieniu moi współwzięniowie śmiarli się ze mnie na początku, że się modlę, że chodzę do naszej kaplicy, niektórzy z tego, że w ogóle wierzę w Boga. Ale teraz wielu z nich chce ze mną rozmawiać, bo widzą, jaką mam w sobie siłę. I to jest siła ducha. Choć siedzę w więzieniu, nie czuję żadnego strachu, a czulem taki strach, kiedy prowadziłem agencję. I to był strach przed Bogiem, wiedziałem, że to niewłaściwa droga. Tłumaczę moim więziennym kolegom, którzy stracili wiarę we wszystko, że zyskują nową siłę, kiedy zaczną działać zgodnie ze swoim sumieniem, tak jak ja zrobiłem. Staram się ich przekonać, że Bóg jest, trzeba tylko w niego wierzyc, modlić się i przyciągać same dobre myśli. Tak mi mama przekazała, tak przekazałem to swoim dzieciom, a teraz przekazuję moim współwzięniom. No i dzisiaj, po prawie dwóch latach odsiadki, nasza kaplica już nie świeci takimi pustkami w czasie mszy jak dawniej (śmiech).

- Czyli uważasz, że te siły zawdzięczasz decyzji o zamknięciu agencji. A czy taką samą siłę mają teraz twoja żona i dzieci? Im może być ciężiej niż tobie.

Józek: Pod pewnym względem na pewno jest im ciężko, pod finansowym. Ale poza tym tworzymy miłą i zgraną rodzinę. Team Gudbaj to nie tylko Patryk, ja i bracia (śmiech)! Mam najważniejszą żonę na świecie. Zawsze wiedziałem, że darzę mnie bezwarunkowym zaufaniem, dlatego nigdy go nie nadwyryłem i zawsze wiedziałem, że moja żona zrobi i przetrzyma dla mnie wszystko. Także teraz.

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)

- Choć cała reszta Teamu Gudbaj siedzi w więzieniu, mama wciąż nie może spać spokojnie, przynajmniej jeśli chodzi o ciebie, bo cały czas jeździsz na zawody?

Patryk: Postanowiłem tacie i wujom pokazać, że nie zmarujemy tych wszystkich lat i sam wygram Mistrzostwa Europy. Nie spałem, harowałem jak wół na budowach na nowy sprzęt, trenowałem na pożyczonych motorach i udało się! Tak bardzo chciałem to zrobić dla taty i dla całej rodziny, żeby pokazać, że my się nie poddajemy! Tak bardzo się uparłem, że musiało się udać!

Józek: I udało się! Jestem z niego bardzo dumny. Patryk: A ja jestem dumny, że należę do tego teamu. Choćby nadal nazywali nas „falszywami z Poronina”!

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)

Józek: I udało się! Jestem z niego bardzo dumny. Patryk: A ja jestem dumny, że należę do tego teamu. Choćby nadal nazywali nas „falszywami z Poronina”!

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)

Józek: I udało się! Jestem z niego bardzo dumny. Patryk: A ja jestem dumny, że należę do tego teamu. Choćby nadal nazywali nas „falszywami z Poronina”!

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)

dy uważa, że jak ktoś raz coś ukradł, co całe życie musi być złodziejem. A przecież w ludziach jest dobro! Tu w więzieniu moi współwzięniowie śmiarli się ze mnie na początku, że się modlę, że chodzę do naszej kaplicy, niektórzy z tego, że w ogóle wierzę w Boga. Ale teraz wielu z nich chce ze mną rozmawiać, bo widzą, jaką mam w sobie siłę. I to jest siła ducha. Choć siedzę w więzieniu, nie czuję żadnego strachu, a czulem taki strach, kiedy prowadziłem agencję. I to był strach przed Bogiem, wiedziałem, że to niewłaściwa droga. Tłumaczę moim więziennym kolegom, którzy stracili wiarę we wszystko, że zyskują nową siłę, kiedy zaczną działać zgodnie ze swoim sumieniem, tak jak ja zrobiłem. Staram się ich przekonać, że Bóg jest, trzeba tylko w niego wierzyc, modlić się i przyciągać same dobre myśli. Tak mi mama przekazała, tak przekazałem to swoim dzieciom, a teraz przekazuję moim współwzięniom. No i dzisiaj, po prawie dwóch latach odsiadki, nasza kaplica już nie świeci takimi pustkami w czasie mszy jak dawniej (śmiech).

- Czyli uważasz, że te siły zawdzięczasz decyzji o zamknięciu agencji. A czy taką samą siłę mają teraz twoja żona i dzieci? Im może być ciężiej niż tobie.

Józek: Pod pewnym względem na pewno jest im ciężko, pod finansowym. Ale poza tym tworzymy miłą i zgraną rodzinę. Team Gudbaj to nie tylko Patryk, ja i bracia (śmiech)! Mam najważniejszą żonę na świecie. Zawsze wiedziałem, że darzę mnie bezwarunkowym zaufaniem, dlatego nigdy go nie nadwyryłem i zawsze wiedziałem, że moja żona zrobi i przetrzyma dla mnie wszystko. Także teraz.

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)

- Choć cała reszta Teamu Gudbaj siedzi w więzieniu, mama wciąż nie może spać spokojnie, przynajmniej jeśli chodzi o ciebie, bo cały czas jeździsz na zawody?

Patryk: Postanowiłem tacie i wujom pokazać, że nie zmarujemy tych wszystkich lat i sam wygram Mistrzostwa Europy. Nie spałem, harowałem jak wół na budowach na nowy sprzęt, trenowałem na pożyczonych motorach i udało się! Tak bardzo chciałem to zrobić dla taty i dla całej rodziny, żeby pokazać, że my się nie poddajemy! Tak bardzo się uparłem, że musiało się udać!

Józek: I udało się! Jestem z niego bardzo dumny. Patryk: A ja jestem dumny, że należę do tego teamu. Choćby nadal nazywali nas „falszywami z Poronina”!

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)

Józek: I udało się! Jestem z niego bardzo dumny. Patryk: A ja jestem dumny, że należę do tego teamu. Choćby nadal nazywali nas „falszywami z Poronina”!

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)

Józek: I udało się! Jestem z niego bardzo dumny. Patryk: A ja jestem dumny, że należę do tego teamu. Choćby nadal nazywali nas „falszywami z Poronina”!

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)

Patryk: Mama jest naprawdę silną kobietą. Zawsze się bardzo bała, kiedy siałem na motor, ale nigdy mi tego nie zabraniała, bo nie chciała mi odbierać radości. Nigdy z nami nie jeździła na zawody, a kiedy miałem jakiegoś kontuzję, to chyba to czuła, bo wtedy nie zadawała żadnych pytań, udawała, że niczego się nie domyśla i zostawiała tę sprawę nam, tzn. mnie i tacie. Udawała głupia, ale swoje wiedziała. A tata zawsze bardziej bał się mamy, niż mojej kontuzji! (śmiech)



Na skarpie słynny niegdyś napis Go-Go - w nocy był dobrze widoczny z „zakopiarki”. Od czasu śmierci Jana Pawła II już nie świeci.



Autorką wywiadu jest AGNIESZKA RUCIŃSKA - studentka dziennikarstwa w warszawskiej SWPS; wraz z mężem prowadzi firmę transportową, mama dwójki dzieci - Igora i Roksanę; chce w przyszłości zajmować się dziennikarstwem obywatelskim.

MODA NA KRYZYS

MALGORZATA
GUSS-GASINSKA

Moda i stan gospodarki od zawsze były ze sobą połączone. Księżna Kate kupuje ubrania w w sieciówkach, a Lady Gaga pokazuje się w lumpeksach. Nadszedł koniec epoki blichtru.

Moda i kryzys mają ze sobą więcej wspólnego niż się z pozoru wydaje. Weźmy choćby taki Hemline Index – teoria długości spódnic. Teoria ta powstała prawie 100 lat temu, jej autorstwo przypisywane jest Georgowi Taylorowi, który miał stwierdzić, że w czasach, gdy gospodarka kwitnie kobiety skracają spódnice. A kiedy trzeba zaciskać pasa długość sukien wyciąga się niebezpiecznie w stronę kostek. Podobno w ten sposób (zasłaniając nogi) modne damy ukrywały smutny fakt, że nie stać ich na zakup pończoch.

Co prawda teraz niewiele z pań preferuje tę część garderoby, ale można się pokusić o stwierdzenie, że teoria Taylora dziś też ma sens. Weźmy choćby tegoroczne pokazy kolekcji Marca Jacobsa, gdzie królowały spódnice długości midi – to niezbitcie dowodzi, że jeśli nie kryzys, to przynajmniej spowolnienie w gospodarce jest jednak nieuchronne. Podobnie wieszczą inne badania speców od tego, jak się powinno wyglądać. Jedną z firm kosmetycznych do mierzenia nastrojów w gospodarce stworzyła tak zwany wskaźnik szminki. Okazało się, że po atakach terrorystycznych 11 września dwukrotnie wzrosła sprzedaż tego kolorowego kosmetyku. Według badaczy dowodzi to tego, że jeśli nawet czasy i stan kont zmu-

a obecnie specjalistka od looku wyznała bez skrupowania, że chodziła i będzie chodzić na imprezy w tych samych ciuchach. Bo nie po to wykosztowała się na futerko, żeby po jednym pokazie wepchnąć je w otchłań zapomnienia do szafy. Ta sama pani nie boi się też zakupów w sieciówkach.

Podobnie rzecz ma się na brytyjskim dworze, gdzie księżna Kate, o zgrozo publicznie, pokazuje się w sukienkach popularnych sieci. Złośliwcy twierdzą, że to tylko poza – granie roli milej dziewczyny z sąsiedztwa i próba uczłowieczenia monarchii, ale trudno nie przyznać, że coś w tym jest. Jeśli do tego dodać Lady Gagę, która ostatnio dała się sfo-tografować podczas robienia zakupów w second handzie (co prawda mieszczańskim luksusowe marki, ale jednak używane) – to można powiedzieć, że moźnych i sławnych tego świata dotknął kryzys. A dokładniej rzecz ujmując – moda na kryzys.

Bo kryzys stał się niesłychanie popularny. Nie tylko jako temat gorączkowych rozmów polityków czy ekonomistów. Na kryzys można się nawet posnobać! Teraz z powodzeniem można się przyznać do spędzenia weekendu w bacówce

bez prądu i ciepłej wody, za to na sianie, pochwalić bez wstydu bistorowymi spodniami vintage po ciotce, niegdyś walczącej feministce, zjeść wreszcie normalną bułę z korniszonem, a nie pastę z truflami i przestać się wstydzić, że jeździ się na miesięcznym.

Kryzys – czy już jest, czy zaraz nadejdzie – dał nam na razie na pewno jedno, dzięki niemu paradoksalnie możemy sobie pozwolić na więcej (przynajmniej w modzie), choćby na wspomniane bistorowe portki po ciotce. ■

Na kryzys można się nawet posnobać! Teraz z powodzeniem można się przyznać do spędzenia weekendu w bacówce bez prądu i ciepłej wody; za to na sianie, pochwalić bez wstydu bistorowymi spodniami vintage po ciotce

W zapyziałym popegeerowskim Siedlecinie stoi wieża rycerska z zachowa

POLSKA – ŚWIETNY KIERUNEK TURYSTYCZNY, KTÓREMU SZKODZĄ KOMPLEKSY

PIOTR
GURSZTYN

Czy warto zwiedzać Polskę? Tak. Choć wielu Polaków uważa, że jesteśmy krajem mniej ciekawym niż - dajmy na to - Czechy czy Węgry. I mimo tego, że równie wielu Polaków robi wiele, aby nie warto było spędzać czasu w ich kraju. Bo polski kompleks niższości jest pierwszorzędnym czynnikiem szkodzącym rozwojowi turystyki i globalnego terro- rystwa w kraju między Odrą a Bugiem.

Oczywiście musimy pogodzić się też z tonami śmieci w lasach, koszmarną architekturą, wszechobecnymi sztyldami i temu podobnymi estetycznymi zbrodniami wymierzonymi w Polskę. Ale nie jesteśmy tu wyjątkiem, gdzie indziej też tak bywa. Polskę warto zwiedzać i to nie tylko ze względu na tchnące lamusem (nie-stety) zdanie XIX-wiecznego starożytnika Zygmunta Glogera, że dobrze znać cudze rzeczy, zaś obowiązek swoje. Po prostu trzeba przedrzeć się przez kompleksy, własną ignorancję i zamachy na estetykę, aby uznać Polskę za fascynującą „destynację”.

POZA ZESTAWEM
OBOWIĄZKOWYM

Pominiemy tu oczywiście zestaw obowiązkowy - czyli zamek w Malborku, kopalnię w Wieliczce, czy krakowską starówkę. To oczywistości, choć rzeczywiście są to miejsca arcydzieł. Także z punktu widzenia cudzoziemca, o czym mogą świadczyć zapisy w biblii globtrotterów, czyli przewodnikach Lonely Planet. Spróbujmy wskazać na rzeczy raczej znane, choć niedoceniane.

Dekadę temu autor tych słów pracował w znanym magazynie reporterskim jednej z komercyjnych telewizji. Praca łączyła się z wyjazdami w różne niespodziewane miejsca. W czasie wyjazdów szybko „zgadaliśmy się” między sobą - reporterzy i pozostali członkowie ekip - żeby wymienić się informacjami na temat ciekawych lokali gastronomicznych. W czasie każdego wyjazdu ambicją było znalezienie

knajpy lub zajazdu z czymś oryginalnym, najlepiej niespotykanym w innych rejonach kraju. Eksplokacja przyniosła rozczarowania. Reklamowana tu i tam kuchnia regionalna ograniczała się do żurku

robionego z proszku pewnego znanego, bynajmniej nie polskiego koncernu. Teraz, dzięki ogólnounijnej procedurze rejestrowania produktów regionalnych jest trochę lepiej. Ale i tak Polska nie jest krajem, w którym ktoś mógłby napisać tak kapitalną książkę jak „Sekrety włoskiej kuchni” Eleny Kostoukovitch (do której wstęp napisał sam Umberto Eco!). To było jedno zło doświadczenie. Drugie jest lepsze. Jeszcze wcześniej - dwadzieścia lat temu - autor tego tekstu był studentem historii. Obowiązkowym punktem programu nauczania był tzw. objazd naukowy. To tour po kilkudziesięciu obiektach zabytkowych połączony z egzaminem z historii sztuki. Niżej podpisany dzięki temu zwiedził mało znane zakątki Dolnego Śląska i Wielkopolski.

To było jedno zło doświadczenie. Drugie jest lepsze. Jeszcze wcześniej - dwadzieścia lat temu - autor tego tekstu był studentem historii. Obowiązkowym punktem programu nauczania był tzw. objazd naukowy. To tour po kilkudziesięciu obiektach zabytkowych połączony z egzaminem z historii sztuki. Niżej podpisany dzięki temu zwiedził mało znane zakątki Dolnego Śląska i Wielkopolski.

PERLY NA KAŻDYM ROGU

Historia nie jest oczywiście jedynym kluczem do zwiedzania Polski. Ale jest jednym z najciekawszych. Także pod względem historii sztuki, choć nie jesteśmy w tej kategorii Italią czy Francją. Wspomniany Dolny Śląsk jest pod tym względem najbogatszą częścią Polski w jej obecnych granicach. To kraj bogaty już w średniowieczu, potem część Czech i Austrii. Skala tamtejszej historycznej architektury ma mało odpowiedników w pozostałych regionach Polski. Wystarczy spojrzeć na rozmach, z jakim zbudowano opactwa w Lubiążu, Henrykowie czy Krzeszowie, zamek w Książu, pałac w Mosznej, kościoły Świdnicy, twierdzę kłodzką. Nawet w niewielkich miejscowościach znajdują się perły. W zapyziałym popegeerowskim Siedlecinie stoi wieża rycerska z zachowanymi malowidłami, jakich gdzie indziej w Polsce nie zobaczymy. Jeśli ktoś ma fisia na punkcie króla Artura czy innych „facetów w rajtuzach”, powinien pojechać do Siedlecin, żeby zobaczyć malowidła z epoki ukazujące przygody sir Lancelota. W małym miasteczku na trasie z Wrocławia do Poznania, Prusiech, stoi kościół, jakich wiele w Polsce. Wprawdzie gotycki, ale widzieliśmy niedługo podobny. Za to w środku pyszni się alabastrowy nagrobek habsburskiego generała, który mógłby być ozdobą galerii w każdej europejskiej metropolii.

Trzeba umieć szukać, zwłaszcza, że polskie samorządy nie potrafią dobrze promować swoich skarbów. Często ich też nie doceniają, stawiając na budowę akwaparków lub term. Zresztą my wszyscy w Polsce „gardzimy” krajoznawstwem. Zupel-

nie inaczej niż Niemcy, którzy uprawiają swoje Wanderungen już prawie dwieście lat. Nie nowego w tej konstatacji, bo na to światową nestor polskiej turystyki Mieczysław Karłowicz.

TUBYLCY NIE WIEDZĄ CO MAJĄ

Regiony nie tak bogate jak Dolny Śląsk mają też swoje skarby. Długo wymienić „Sehenswürdigkeiten” Małopolski, Wielkopolski, Pomorza, Podlasia i innych. Impionujący Krzyżtopór w Świętokrzyskiem, zamajska twierdza, gotycka cerkiew w Supraślu, Rogalin czy Kórnik w Wielkopolsce, małą Holandię, czyli Żuławy, zamek Potockich w Łańcucie. Oprócz tego atrakcje według innego klucza - krajoznawczego, przyrodniczego czy sportowego.

Jedną wycieczką z Warszawy to zwiedzenie radziwiłłowskiego Nieborowa, parku w Arkadii, kościołów w Łowiczu czy romańskiego opactwa w Czerwińsku. Alby twierdzy w Modlinie, choć to akurat turystyka z pogranicza survivalu, bo jakoś nikt z decydentów nie uzmysłowił sobie, że jest to kompleks budowli, który mógłby przyciągać zwiedzających z całego świata. Choć to tylko Mazowsze - krajina relatywnie uboga w zabytki przeszłości - to pięć miejsc pozwoli nam obejrzeć obiekty o klasie ogólnoeuropejskiej. Zresztą wędrówka po niedocenianej Warszawie może być arcyciekawa. Ciekawym kluczem może być wydany niedawno przewodnik po powstańczej stolicy. Dzięki niemu szare, nieciekawe budowle przestają być banalnym elementem miasta, które niesłusznie uchodzi za nieudaną podróbkę przedwojennej metropolii.

Tak już z Polską jest. Nawet turyści nie wiedzą, co mają. Pogarda dla badań regionalistycznych i prowincjonalne kompleksy nie służą zwiększaniu rzeczy naprawdę ciekawych. Na Warmii, skąd pochodzi autor tego tekstu, można znaleźć w każdym powiecie dowody na tę smutną tezę. Mały zalesiony wzgórek przy lokalnej szosie w okolicy Orny okazuje się reliktem francuskiego szafica, gdzie raniomy został w 1807 r. marszałek Bernadotte, późniejszy król Szwecji. Kilkanaście kilometrów dalej - most na rzece Pasłęce - miejsce, które opisał Aleksander Sołżenicyn w opowiadaniu „Adlig Schwenkitten”. Dramatyczna historia o tym, jak zniszczona została prawie cała bateria, w której służył przyszły noblista. Czy myślicie, że tu czy tam stoi tablica z informacjami dla zwiedzających? Nie bądźcie naiwni. Nic z tego, takie miejsca są jak Atlantyda. ■

W zapyziałym popegeerowskim Siedlecinie stoi wieża rycerska z zachowanymi malowidłami, jakich gdzie indziej w Polsce nie zobaczymy. Jeśli ktoś ma fisia na punkcie króla Artura czy innych „facetów w rajtuzach” powinien pojechać do Siedlecin, żeby zobaczyć malowidła z epoki ukazujące przygody sir Lancelota.



W zapyziałym popegeerowskim Siedlecinie stoi wieża rycerska z zachowa

6 KSIĄŻEK NA ŚWIĘTA

NIKIETA PIETROW

Psy Stalina wiecznie żywe

Książka jednego z najbardziej znanych obrońców praw człowieka w Rosji o najważniejszych twórcach stalinowskiego systemu opiesi jest przerażająca. Ale nie tylko ze względu na wnikliwe opisy przeszłych bestialstw i dokonujących ich bestii. Pietrow podaje bardzo wiele nowych faktów, pokazuje jak wysublimowani lub zbroczeni kaci przy innym obrocie rzeczy mogli stać się uzdolnionymi artystami, urzędnikami. Obnaża mniej znane strony bestialstwa systemu stalinowskiego zbliżające go często, nie tylko w statystykach i generalnym poziomie okrucieństwa, ale i w formach do nazizmu, nieraz go przerastając: eksperymenty na więźniach, gazowanie, najbardziej wyafinowane formy skrytobójstwa.

Książka Pietrowa jest jednak wyjątkowo straszna dlatego, że jest uderzającym opisem rehabilitacji stalinizmu w

współczesnej Rosji. Nagrobek Wasilija Błochina, naczelnego kata Łubianki, został niedawno odnowiony. Współczesna rosyjska literatura przedstawia Ławrientija Berię, prawą rękę Stalina od mordowania, jako sprawnego menadżera. Michaił Malcew, współtwórca i nadorca GUŁ-ągów, sowieckich obozów pracy i - jak w gruncie rzeczy dowodzi Pietrow - zagłady, został uznany niedawno honorowym obywatелеm Workuty. Władze miasta otoczonego setkami tysięcy bezimiennych mogił uznały człowieka, który mogiły te ufundował, za perfekcyjnego zarządcę. „Psy Stalina” dotychczas do najlepszych studiów totalitaryzmu. Ale też są ponurym opisem współczesnej Rosji i jej świadomości historycznej. Są znakiem ostrzegawczym, przestroga. Oby nie okazały się prorocstwem. ■

NIKIETA PIETROW



Margaret Thatcher,
Moje lata na
Downing Street,
Dream Books

Autobiografia z żelaza

Chyba bez większego ryzyka można stwierdzić, że w dwudziestowiecznej historii świata żadna inna kobieta nie odegrała tak istotnej roli. Równocześnie chyba też żadnemu z szefów rządów zachodniej Europy nie zdarzyło się po wojnie stoczyć tylu zwycięskich bitew na tyłu frontach. Margaret Thatcher wygrała autentyczną wojnę z Argentyną, zwycięsko zakończyła zimną wojnę, walczyła z irlandzkimi terrorystami, związkami zawodowymi, mediami. Wykazywała się nieprzeciętnym hartem ducha, geniuszem politycznym, ale i mrozącą krew w żyłach bezwzględnością. Jej autobiografia, reedycja książki po raz pierwszy wydanej u nas w 1996 roku, nawet jeśli jest nieco wyperfumowana, to tylko lekko. Sposób pisania przez Thatcher dobrze oddaje jej charakter. Przenikła, do bólu logiczna, po podjęciu decyzji niewahająca się i zdeterminowana. Ale też bezli-

tna wobec innych, nawet bliskich współpracowników. To bardzo szczegółowy, ale i przenikliwy opis rządów jednego z najważniejszych polityków dwudziestego wieku i lepsza lekcja polityki niż wiele tomów opracowań politologicznych. Dziś, kiedy Europa jest na zakręcie, historia rządów baronessy Thatcher staje się tym bardziej aktualna. Thatcher wierzy w wartości podstawowe - Boga, naród, państwo, monarchię. Polityka odarta z wartości prowadzi jej zdaniem donikąd. Thatcher nie ulega modnym zakłębieniom i poprawnościowym sloganom. Stara się patrzeć na świat takim, jakim jest, co daje jej przewagę nad przeciwnikami potykającymi się pod wpływem swoich słabości i rozmaitych ideologii. Dobrym uzupełnieniem tej książki jest film z Meryl Streep w roli głównej pod tytułem „Żelazna Dama”. Warto go obejrzeć, by zobaczyć, że ta biografia miała także swoją wysoką prywatną cenę. ■

WIESŁAW CHEŁMIŃIAK

Jako pierwszy stanie w szranki Quentin Tarantino. Jego nowe dzieło „Django” trafi do kin 18 stycznia. Tym razem mistrz filmowego recyklingu próbuje ożywić gatunek zwany spaghetti-westernem. Zapowiada się niezły ubaw, chociaż krytycy jak zwykle będą doszukiwać się ukrytych głębołko treści.

Tydzień później stanie się „Niemożliwe”. Turysty spędzający Boże Narodzenie w tropikalnym raju zostaną porwani przez monstrualną falę tsunami. Filmowcy wykorzystali wspomnienia szczęśliwców, którym osiem lat temu udało się przeżyć atak żywiołu. W lutym powrócą Steven Spielberg z nieosłonięte patetycznym filmem o prezydencie Abrahamie Lincolnie (Daniel Day-Lewis znówu celuje w Oscara) oraz Kathryn Bigelow z „Wrogiem nr 1”. Najtwardsza kobieta Hollywood opowie historię poszukiwań Osamy Bin Ladena. W walentyński weekend zadebiutują „Piękne istoty” - film adresowany do wielbicielei „Zmierzchu”, „Harry’ego Pottera” oraz „Igrzysk śmiertci” (druga część w listopadzie). Autorów natchnęła bestsellerowa powieść Kami Garcii i Margaret Stohl o nastolatkach z amerykańskiej prowincji, proroczych snach, pierwszej miłości i nadnaturalnych mocach. W marcu doszłuzują „Ciepłe ciała” czyli kolejny romans z pogranicza: młody zombie zakocha się w jednej ze swych ofiar. Latem kina zaanketują komiksowi bohaterowie: „Green Lantern” i „Wolverine”. W maju Robert Downey Jr po raz trzeci założy zbroję Iron Mana, a w czerwcu zluźuje go „Człowiek ze stali” czyli poczywie, choć odmlodzony, Superman. Może też ujawni się wreszcie „Damaulka warta grzechu” spółki Frank Miller/Roberto Rodriguez. Fanów literatury i tygrysów bengalskich powinna zadowolić ekranizacja powieści Yanna Martela „Życie Pi”, dokonana przez samego Anga Lee (premiera już 11 stycznia). Dwa tygodnie później coś dla snobów: nowa, naszpikowana holly-

woodzkimi gwiazdami adaptacja „Nędzników”. W czerwcu come-back zaliczy „Wielki Gatsby” - rolę romantycznego milionera odziedziczyl po Robercie Redfordzie Leonardo DiCaprio. „Triszna. Pragnienie miłości” z Freida Pinto to przeniesiona w hinduskie realia „Tessa d’Urberville” Thomasa Hardy’ego. Stawkę uzupełniają zaś skandalizująca „Teresa Raquin” według Émila Zoli.

W lipcu Johnny Depp objawi się jako Indianin z plemienia Apaczów w westernie pod znajomym tytułem „Jeździec znikąd”, by kilka miesięcy później po raz piąty wcielił się w kapitana Jacka Sparrowa w „Piratach z Karaibów”. Plaga sequei nie ustępuje: kolejnymi objawami choroby będą „Szybcy i wścickli 6”, „Krzyk 5”, „Paranormal Activity 5”, „Austin Powers 4”, „Straszny film 5”, „Dzień Niepodległości 3” i piąta „Szklana pułapka”. Bruce Willis ma już swoje lata, więc w ratowaniu demokracji na świecie pomoże mu syn. Zachęcany przykładem przypomni o sobie inny weteran kina akcji - Arnold Schwarzenegger. Na plakacie filmu „Likwidator” ze znużoną miną obsługuje karabin maszynowy. Nie samą Ameryką człowiek żyje. Francuzi liczą, że sukces „Nietykalnych” powtórzą „Nicobliczalni” (policjanci). Hiszpanie wierzą, że dzięki zwariowanej komedii „Przelotni kochankowie” wyjdzie z dolka Pedro Almodovar. Czesi jako kandydata do Oscara wystawili polityczny thriller „W cieniu” nakręcony częściowo w Łodzi.

A CZYM ZASKOCZĄ NAS RODACY? W lutym okaże się, czy Bogusław Linda miał rację dezercerując z planu „Tajemniczy Westerplatte”. Michał Żebrowski, który przejął rolę majora Sucharskiego, w styczniu pokaże się jako (nomen omen) „Sęp” - twardy gliniarz, którego zmieżykę Anna Przybylska. Grzechy stróżów prawa obnaży także „Drogów-

ka”. Znając dorobek reżysera Wojciecha Smarzowskiego, można oczekiwać mocnych wrażeń. Lekko duchoom polecam natomiast komedję Sławomira Kryńskiego „Podejrzeni zakochani” awizowaną jako „farsa hotelowa kryminalno-miłosna, oparta na dziwnych zbiegach okoliczności”. Na rocznicę powstania warszawskiego



powinien zdążyć Tomek Bagiński ze swym komputerowym projektem „Hardkor 44”, a w październiku Andrzej Wajda zaawstzyd Amerykanów, którzy superprodukcję o Waleście mieli nakręcić już 20 lat temu. Na koniec zostawiłem to, co tygrysy lubią najbardziej: film w filmie. Akcja „Hitchcocka” rozgrywa się na planie „Psychozy”, zaś otyłego reżysera gra szczerpłutki Anthony Hopkins. Takiej kombinacji nawet prawdziwy Hitchcock by nie wymyślił. ■

ORIANA FALLACI

Więcej niż wywiady



Oriana Fallaci,
Wywiad z władzą,
Świat Książki

Władza niekoniecznie oznacza kierowanie rządem. Dlatego wśród osób, z którymi rozmawiała Oriana Fallaci, jedna z największych dziennikarek i intelektualistek XX wieku, znalazł się Lech Wałęsa, wówczas lider „Solidarności”. Tym samym nasz były prezydent znalazł się w gronie osób, z którymi przeprowadzono badające najbardziej historyczne, poruszające wywiady w dziejach współczesnego dziennikarstwa. Zresztą to grono nie zawsze jest zacne. Są w nim Dalajlama, Robert Kennedy, ale też irański fanatyczny przywódca Chomeini,

libijski dyktator Kaddafi, władca komunistycznych Chin Deng Xiaoping. Dlaczego ci ludzie zgadzali się rozmawiać z bezkompromisową dziennikarką? Ona sama stawiała tezę, że robili to ze strachu przed opinią, że stchórzyli przed kobietą. Grała na ich ego. Wyzwalała ich na pojedynki, a potem rozkładała na łopatki. Obnażała głupotę i groteskowość Kaddafiego, zepsucie Xiaopinga, obłudę Chomeiniego. Tak było, kiedy podczas rozmowy z tym ostatnim Fallaci zerwała z głowy przepisowe dla kobiet spotykających się z Ajatollahem, nakrycie głowy. ■

ORIANA FALLACI

Nieśmiertelna Trójka



Wiesław Weiss,
33 x 3,
Wydawnictwo
Vesper

Pomimo licznych burz personalnych, politycznych i biznesowych Programowi Trzeciemu Polskiego Radia udało się bez wątpliwości jedna rzecz. Przetrwiał zmianę systemu, a także kolejne dwie dekady, pozostając ulubioną stacją młodej inteligencji. Co więcej, słuchacze Trójki, wciąż tworzą swoisty radiowy klub, mają wpływ na program, identyfikują się ze swoim radiem i przywiązują do niego. „Dlaczego Zbyszek Gieniewski, który wymyślił audycję +Zapraszamy do Trójki+, nigdy jej nie prowadził? Jakże były konsekwencje nadania w Programie Trzecim w stanie

wojennym wywiadu z Danutą Wałęsową? I który znany muzyk rockowy był bohaterem reportażu o idolu terroryzującym mieszkańców bloku przy ulicy Karola Miłota 11 w Toruniu?” - tak wydawca zachęca do przeczytania książki Wiesława Weissa, swoją drogą też legendarnej postaci. W tej ciekawej książce zabrakło nieco bardziej wnikliwego, uczciwego rozliczenia z uwikłaniami politycznymi Trójki, szczególnie pod koniec PRL. No cóż, nie taka rola laurek. ■

PAWEŁ PRZYCHODZEN

„SOUNDTRACK” LAO CHE - UCZTA DLA TYCH, KTÓRZY SŁUCHAJĄ SŁÓW

W marcu 2008 r. w „Przekroju” pojawił artykuł pod wymownym tytułem „Wszystcy kochają Lao Che”. Na rynku pojawiła się wtedy płyta „Gospel”, a zespół wciąż święcił triumfy po oszałamiającym sukcesie „Powstania Warszawskiego”. Od tamtego czasu minęło prawie pięć lat i właściwie niewiele się zmieniło. Zespół jest ciągle aktywny, wydał w tym czasie dwie kolejne płyty, w tym w ostatnich dniach album „Soundtrack”.

To kolejny zwrot w muzycznej stylistyce plockiej kapeli. Jak zawsze u Lao Che płyta składa się na spójną opowieść, którą musimy wysłuchać od pierwszego do ostatniego dźwięku. Sam dźwięk i muzyka kierują nas w obszary tyłe ekscytujące, co pełne napięcia, ale też wymuszające refleksję. To chyba nie może dziwić, jeśli zważymy, że producentem płyty jest Eddie Stevens, znany m.in. ze współpra-

cy z Moloko. Jak twierdzą sami muzycy, Eddie stał się członkiem grupy, ba liderem. Patrząc na efekty był to słuszny wybór, potwierdzający twórczą niejednoznaczność formacji.

„Soundtrack” to uczta dla tych odbiorców, którzy potrzebują słowa. Teksty autorstwa Huberta Dobaczewskiego „Śpiętego”, wokalisty grupy stały się znakiem rozpoznawczym Lao tak oczywistym, jak godło państwowe w urzędzie. Te niezliczone ilości cytatów czerpanych z najróżniejszych źródeł, te myśli ulotne, chwile łapanie przez „Śpiętego” w najróżniejszych miejscach i momentach, a później zapisywane do jego dzienniczka. To wszystko jest jak wielka kolorowa tkanina, zszyta z setek kawałków, czasem na pozór nieatrakcyjna, bo nie wszystko do siebie pasuje, ale objawiająca swoją urodę przy każdym uważniejszym wsłuchaniu się. Właśnie

jak w patchworku, gdzie w zalewamy wzorów i kolorów z czasem dostrzegamy subtelności. Tak jest z tekstami Lao Che. Przyznam, że do dziś się łapię na odkrywaniu kolejnych smaczków z wydawało się świetnie znanych mi utworów. U „Śpiętego” nie ma pogoni za atrakcyjnie ułożoną frazą. Tu niemal ciągle jesteśmy bombardowani pytaniami o sprawy realne. Wszyscy ci, którzy zdążyli się przyzwyczaić do takiej formy ekspresji zespołu, płytą „Soundtrack” nie będą zawiedzeni. Ktoś ostatnio stwierdził, że Hubert Dobaczewski jest najlepszym obecnie polskim tekściarzem. To kwestia subiektywna, ale moim zdaniem, coś w tej opinii jest.

„Śpięty” powiedział niedawno w wywiadzie dla portalu W.Nas.pl, że „kultura, jeśli uprawiana jest szczerze i z zaangażowaniem, zawsze buduje”. Banał? Alibi? Nie w przypadku Lao Che. Jestem przekonany,



że oni naprawdę wierzą, iż uczciwość wobec publiczności wymaga uczciwości w tworzeniu. I może dlatego Lao Che od lat cieszy się zasłużoną popularnością i rzeczywistym szacunkiem odbiorców. I dlatego warto kupić ich ostatnią płytę. ■

MAREK KRAJEWSKI

Mock w dobrej formie



Marek Krajewski,
Rzeka Hadesu,
Znak

Miłośnicy kryminałów Marka Krajewskiego orzekli, że „Rzeka Hadesu” trzymają poziom. Mistrz rodzimego, mrocznego kryminału znówu jest w tym mieście, w którym sobie najlepiej radzi, czyli we Wrocławiu. Spotykają się tam jego dwaj starzy bohaterowie Edward Popielski i Eberhard Mock. Dalej jest wszystko to, za co kochamy Krajewskiego - udane retrospekcje, mroczny klimat i sporo okrucieństwa, wędrówki najmroczniejszymi zaułkami Wrocławia,

tym razem powojennego miasta widma, w którym osiedlają się nowi mieszkańcy ze wschodu, a funkcję diabła skutecznie spełnia Urząd Bezpieczeństwa. ■

MAREK KRAJEWSKI

Przewrót oczami blondynki



Magdalena Samozwaniec,
Kartki z pamiętnika młodej mężatki, Wydawnictwo
W.A.B.

Pozycja sprzed roku, ale tak urocza, że nie mogliśmy się powstrzymać, by jej nie polecić. Dwudziestoletnia Mimi przyjechała w odwiedziny do ojczyzny z Paryża, gdzie została bogatego, statecznego męża i na pewien czas zamieszkała w warszawskim Hotelu Bristol. Jest maj 1926 roku, pod oknem eleganckiego hotelu maszeruje wojsko i wybuchają walki. Zainteresowanie ciekawymi starciami tocącymi się na ulicach konkurują z telefonicznym flirtem. Ostatecznie zwycięża walka,

a dzielna bohaterka kibicuje rewolucji, choć nie za bardzo wie o co w niej chodzi. Genialna humoreska napisana jeszcze w 1926 przez jedną z najdowodniczszych, a niestety ciut zapomnianych, polskich pisarek. ■

KRZYZOWKA

FUNDACJA
ŚWIĘTEGO
MIKOŁAJA

STYPENDIA ŚW. MIKOŁAJA



Pomóż im rozwinąć skrzydła!

stypendia.mikolaj.org.pl

Czy wiesz, ile zdolnych dzieci nie ma pieniędzy na naukę i rozwijanie swoich talentów? Jeśli im pomożesz, spełnią swoje marzenia – zostaną lekarzami, inżynierami, naukowcami i artystami. Pomóż im rozwinąć skrzydła!

Wejdź na stronę www.stypendia.mikolaj.org.pl, znajdź swoją dawną szkołę i wpłacaj co miesiąc nawet niewielką kwotę (np. 10, 20 lub 50 zł) na stypendia w programie **Stypendia św. Mikołaja!**

LEKSYKON KIBICÓW NIE TYLKO DLA KIBICÓW

KONRAD LIGENZA

Jeszcze kilka lat temu książki o sporcie nie miały w Polsce sensu. Nawet dzieło o narodowym bohaterze Adamie Małyszu zalegało na sklepowych półkach. Kibice i czytelnicy książek to były po prostu dwa, kompletnie odmienne zbiory. Ci pierwsi unikali druku, drudzy gardzili pierwszymi.

Ale coś się zmieniło. Mimo nieustających kłopotów z kibolami kultura kibicowania w Polsce zdecydowanie się podwyższyła. Modne stało się jeżdżenie na co lepsze mecze co lepszych drużyn z zachodniej Europy – swego rodzaju turystyka piłkarska. A oglądanie meczów ligi angielskiej czy hiszpańskiej w płatnych telewizjach stało się podstawową weekendową rozrywką dobrze zarabiających facetów z klasy średniej. I nagle okazało się, że – tak jak w Wielkiej Brytanii – są w Polsce ludzie pragnący czytać książki o futbolu i jego bohaterach. Stąd wysyp biografii najsłynniejszych gwiazd oraz trenerskich gigantów. W tym piłkarsko-literackim boomie swoją rolę odegrało też oczywiście Euro 2012.

Pośród licznych pozycji futbolowych „Kibice i okolice” Krzysztofa Predeckiego wyróżniają się jednak swą specyfiką. Po pierwsze – to leksykon. Po drugie – opowiada nie o gladiatorach boiska, ale o tych, bez których ich występy nie mia-

ły najmniejszego sensu. Czyli o kibicach. Po trzecie – autor nie jest dziennikarzem, lecz socjologiem, który bada środowisko kibiców w sposób naukowy. I po czwarte wreszcie – mimo owych socjologicznych naleciałości książka Predeckiego skrzy się poczuciem humoru. Co odróżnia ją od większości serioznych do bólu dzieł, wręcz patetycznych, poświęconych futbolowym bóstwom.

A czego właściwie można się z „Kibi-

był zdolny do tak okrutnych czynów, jakie kibice River Plate są gotowi wyrządzić kibicom Boca Juniors (i na odwrót). Kwintesencją futbolowych potyczek z Buenos Aires jest przytoczona w książce Predeckiego historia, jak to fan jednej z tych drużyn kazał sobie wytatuować wielki herb ubóstwianego klubu. A tatuży sta – kibic wrażliwy ekipy – wydziergał mu gigantycznego, z przeproszeniem, ch...a.

O ileż milej jest w Rio de Janerio, w którym aktor ze sceny pytał widzów o wynik rozgrywanego właśnie meczu. A ci wiedzieli, bo na widowni ukradkiem słuchali radiowej transmisji.

Nawet Osama bin Laden był fanatycznym (jakże by inaczej) kibicem Arsenalu Londyn i śledził poczynania ukochanej drużyny nawet w najdzikszych górach Afganistanu.

ów i okolic” dowiedzieć? Mnóstwa do niczego niepotrzebnych rzeczy, które jednak pozwolą zrozumieć, jak wielu ludzi na świecie ma kompletnego zajoba na punkcie piłki nożnej. Jak się okazuje nawet Osama bin Laden był fanatycznym (jakże by inaczej) kibicem Arsenalu Londyn i śledził poczynania ukochanej drużyny nawet w najdzikszych górach Afganistanu. Chyba jednak nawet on nie

chali radiowej transmisji. Predecki w swej książce przekonuje, że kibicowanie to nie tylko wulgarność i agresja (pisze nawet o akcjach charytatywnych organizowanych przez różnych fanów). Ale *coś* – złe rzeczy są niestety bardziej malownicze od dobrych. Dlatego szczególnie polecam krótki rozdział o przysięgach stadionowych i przekleństwach. Takiego



Krzysztof Predecki „Kibice i okolice” The Facto 2012

nagromadzenia brzydkiich wyrazów nie znajdziecie nawet w filmach Quentina Tarantino. Ale że są poukładane w rytmowane, a czasami nawet całkiem dowcipne hasła, to nawet nie rażą tak bardzo. Ponieważ idą święta, to daruję sobie przykłady, ale co się pośmiałem, to moje. ■

STEFAN SZCZEPLEK

Deyna



Deyna, Stefan Szczepłek, Wyd. Marginesy

Gdyby żył w innych czasach, albo przynajmniej z dala od komunistycznej rzeczywistości, miałby duże szanse zostać jednym z dziesięciu najlepszych piłkarzy w historii świata. Zabięgali przecież o niego najlepsi – Real Madryt, AC Milan, kilka klubów angielskich i francuskich. Był wirtuozem tylko na boisku, poza nim bywało różnie. Znany polski dziennikarz ze znanstwem, ale i taktą opisywał karierę piłkarską oraz życie

Kazimierza Deyny „po godzinach”. Hołd oddany legendzie polskiej reprezentacji i warszawskiej Legii. Jednak bez moralizatorstwa, lukrowania, za to z lekkim piórem i malowniczo zarysowanym tłem PRL-owskiej codzienności. ■

ENRIQUE ORTEGO



Iker Casillas, Skromność Mistrza, Enrique Ortego, Wyd. Sine Qua Non

Iker Casillas. Skromność Mistrza

- Nie jestem galaktyczny, jestem z Mostoles – ten cytat tłumaczy tytuł biografii najlepszego bramkarza świata. Galaktycznym jest nazywany Real Madryt, klub, z którym Casillas związany jest od 9. roku życia. Mostoles to podmastryckie rodzinne miasteczko Iker'a. On jest żywym dowodem na to, że jednak nie wszystkim w piłkarskim przemyśle odbiła „palma”. Nawet jeśli w wieku 30 lat zdobyło się w piśmie nożnej wszystkie możliwe trofea - zarówno z reprezen-

tacji, jak i klubem. Z książki dowiemy się m.in. komu Casillas zawdzięcza zdobycie piłkarskich Himalajów, jak profesjonalnie szkoli się młode talenty i dlaczego kapitan Reala i reprezentacji Hiszpanii nie przepada za Facebookiem. ■

Czy Kowalczyk zdetronizuje Malysza?

LEĆ JUSTYNA, LEĆ!

WITOLD SKRZAT

- Jesteś i tak Chopinką. Graj nam. Klawisze to twoje narty... To nie ziemia przyciągnęła ciebie, a ty ziemię... – recytował nie tak dawno Tomasz Zimoch, wieszcząc na radiowej antenie pasmo wielkich sukcesów polskiej biegaczki.

Długowłosa biegaczka jest wciąż główną kandydatką na carycę polskiego sportu. Ale zdetronizować króla Adama nie będzie tak łatwo.

To już druga zima, podczas której nieco już pulchniejszy i bardziej opalony facet z wąsem ma co weekend spokój. Już nie szuka wiatru, nie trafia w próg, nie trzyma bulczano-bananowej diety. Adam Malysz – bo o nim mowa – przez dekadę był królem polskiego sportu, orłem z Wisły, człowiekiem, którego sukcesy rozbudzały emocje milionów Polaków. Jego medialny rekord to 14,5 mln widzów podczas konkursu skoków na igrzyskach w Salt Lake City w 2002 r. Nieźle? Całkiem, całkiem, bo do czerwca tego roku i meczu Polaków z Grekami na Euro, był to absolutny rekord oglądalności w historii pomiarów widowni telewizyjnej w Polsce.

Teraz król wybrał piaski Rajdu Dakar i nieco zniknął z ekranów. Choć wciąż wydaje się być nie mniej popularny od królowej śniegu - Justyny Kowalczyk. Biegaczka, mająca w dorobku m.in. olimpijskie złoto, wciąż typowana jest na następczynię Adama Malysza. To na jej punkcie ma oszaleć naród, to ona ma stać się bohaterką masowej wyobraźni, od gospodini domowej w Szczecinie, przez inżyniera w Puławach po biznesmena z Wadowic. Wciąż walczy o ten status, zgarniając kolejne medale, nagrody i kontrakty sponsorskie. Jednak wciąż jej medialny rekord jest o ponad połowę niższy od wyniku Malysza. Gdy Kowalczyk biegła po złoto na igrzyskach w Vancouver, przed telewizorami kibicowało jej 7,1 mln z nas. Co więc ma Malysz, czego nie ma Kowalczyk?

ORLI FENOMEN

Patrząc na inne suche liczby, te pokazujące skalę osiągnięć sportowych obu postaci, mamy pierwszą odpowiedź na pytanie o fenomen Malysza. Biegaczka z Kasiny Wielkiej wygrywa tylko w jednej, bardzo istotnej kategorii – ma olimpijskie złoto. Podobnie jak eks-skoczek, zgromadziła dotychczas 4 medale olimpijskie. Do tego 6 medali mistrzostw świata, w tym dwa złote. Malysz mistrzem świata zostawał aż czterokrotnie, zdobył też srebro i brąz. Puchar Świata? Tu znów porównanie wypada na korzyść skoczka, Malysz wygrał tę klasyfikację 4 razy, Kowalczyk 3-krotnie. A wygrane zawody Pucharu Świata, te emocjonalne impulsy, po których kibice puchli z dumy i z radością wstawali do pracy w poniedziałku we poranki? 39-21 dla Orła. Łącznie 102 razy cieszyliśmy się z miejsca skoczka na podium ważnej imprezy i 60 razy oklaskiwaliśmy Kowalczyk, gdy wybiegała miejsce na „pudle”. Nie dziwnego, że i sama Kowalczyk oddaje palmę pierwszeństwa starszemu koledze.

- Adam na pewno, jako świetny sportowiec, przetracił nam wszystkie tor-



Que nist dolo-rep elest, con endelent odisque volorum eumqui sunt exceperia

Pokazał, że można wygrywać i przez to ja też chciałam wygrywać. Dzięki Adam! – mówiła biegaczka dwa lata temu, po triumfie w Vancouver.

Ta chęć do wygrywania oznacza jednak, że być może już niedługo, po igrzyskach w Soczi, Justyna zdetronizuje króla Adama.

- Kolejne sukcesy Justyny, każdy rok w sporcie może wepchnąć ją jeszcze wyżej pod szyjt popularności – uważa Grzegorz Kit, specjalista od marketingu sportowego.

SPIRALA CHOPINKI

- Jesteś i tak Chopinką. Graj nam. Klawisze to twoje narty... To nie ziemia przyciągnęła ciebie, a ty ziemię... – recytował nie tak dawno Tomasz Zimoch, wieszcząc na radiowej antenie pasmo wielkich sukcesów polskiej biegaczki.

Od sukcesu na ostatnich igrzyskach Justyna ma stałą, około 1,5-milionową widownię telewizyjną, gwiazdorskie kontrakty (m.in. z Mercedesem i Polbankiem) oraz wysokie miejsce na lamach kobiecej prasy. No i ma jeszcze jeden atut – sportową przyszłość. Za 2 lata, po igrzyskach w Soczi, Kowalczyk może być niekwestionowaną „naj”. Najlepszym sportowcem w historii polskiego sportu, przy którym zbledną przykurzone nieco narciarskie sukcesy Malysza z jego końcówce w turystycznym tempie Rajdy Dakar. Możliwe, że wobec złota w Soczi, wbrew wszystkim niedowiarkom, nakręcona medialna spirala wywinduje sportsmenkę pod celebryckie niebiosa, krusząc mit faceta od bułki i banana. Jest przy tym kilka „ale”.

- Justyna nie przystyczy Adama Malysza, choć walka będzie bardzo emocjonująca. Kibice łatwiej i chętniej konsumują skoki niż biegi, a do tego sporty męskie z reguły budzą większe zainteresowanie. Poza tym skoczki dają kibicom unikalny system przeżywania emocji. To kilkadziesiąt powtarzalnych, emocjonujących sekwencji. Od wejścia na belkę po lądowanie – podkreśla Kita.

Kłody pod nogi Kowalczyk rzucac też może np. jej wielka rywalka, Marit Bjerg, o ile nie da się pokonać przez następne lata. Masy kochają przecież tylko zwycięzców. Marzenia o justynomanii pełną gębą mogą zniechęcić sukcesy Kamila Stocha, który talentem nie ustępuje ponoć Malyszowi. A co jeśli i skromny wąsacz spełni swe kolejne skryte marzenie - wygra Dakar? Czy wówczas naród rzuci biegówką w ką i zacznie przerabiać poczciwe golfy na terenowe bestie? W wiadomo jedno: walka o rząd dusz toczyć się będzie do ostatniej kropki benzyny, do ostatniego odepchnięcia kijem. Zadbaj o to ci, którym zależy na tym najbardziej: sponsorzy.

9 NADZIEI POLSKIEJ ZIMY:

Który ze sportowców za kilka lat, choćby na igrzyskach w Soczi w 2014 r. może rozpalac masową wyobraźnię? Do gwiazdy **JUSTYNY KOWALCZYK** dobraliśmy utalentowaną ósemkę, która ma szansę rozbrzmieć na międzynarodową skalę. Nie jest tajemnicą, że skoro Adam Malysz jest wiecznie żywy, to i od skoczków zaczyna się wyciszanie polskich talentów w dyscyplinach zimowych. W tym sezonie dobrej formy nie może odnaleźć **KAMIL STOCH**, ale poprzedniej zimy pokazał na co go stać. Ten 25-latek już pięciokrotnie wygrywał zawody Pucharu Świata. O dalekie loty

walczą też m.in. **MACIEJ KOT**, 21-letni wicemistrz świata juniorów w 2009 r. oraz o rok starszy **DAWID KUBACKI**. Wciąż tli się talent 18-letniego **KLEMENSA MURANKI**, który w lutym został wicemistrzem świata juniorów. Wcześniej, w wieku 13 lat, Klimek zajął drugie miejsce w mistrzostwach Polski seniorów. A z kim może pobięgać Justyna Kowalczyk? Apetyt na wysokie lokaty ma np. **KORNELIA MAREK**, która powróciła po dopingowej wpadce i wygrała w marcu mistrzostwo Polski. Kolejna z utalentowanych sportsmenek to biathlonistka **KRYSTYNA PAŁKA**,

znów przypominająca zawodniczkę, która otarła się o medal podczas IO w Turynie. Jej koleżanka z kadry, 26-letnia **WERONIKA NOWAKOWSKA-ZIEMNIAK** zajęła 5. miejsce na igrzyskach w Vancouver i po cichu liczy na medal w Soczi. Równieśnik Nowakowskiej-Ziemniak, panczenista **ARTUR WAŚ**, już w wieku juniorskim wygrywał jak na zawołanie. Wśród seniorów radzi sobie coraz lepiej: kilka tygodni temu zajął drugie miejsce w Pucharze Świata w wyścigu na 500 m, z miesiąca na miesiąc nabiera prędkości. Obcy nie wyhamował przed igrzyskami.

ZAWSZE MOŻE BYĆ GORZEJ

■ I TAK CIĘ KOCHAM!
Elbląscy policjanci zatrzymali 20-letnią kobietę, która złamała sądowy zakaz zbliżania się do byłego partnera. Koszmar chłopaka trwał ponad pół roku, kiedy to postanowił rozstać się ze swoją dziewczyną, bo - jak twierdził - robiła mu awantury i histeryczne sceny zazdrości. Po zerwaniu, Anna L. przychodziła pod dom ukochanego, rzucała kamieniami w okna, wybijając szyby. Zakaz zbliżania się do byłego partnera oraz dozór prokuratorski wobec dziewczyny stróżę prawa uzasadniają tym, że w sprawie interweniowali już 75 razy.

■ ZIMNO JEST, WIĘC SIĘ ZGŁASZAM
W środku nocy do komendy powiatowej w Złotorzy weszło trzech pijanych mężczyzn. Oficer dyżurny nie krył zdziwienia, bo mężczyźni, zamiast się awanturować, zaczęli się ścisnąć i poklepywać. Okazało się, że jednym z przybyszów jest 30-latek ukrywający się przed policjantami, którzy mieli nakaz doprowadzenia go do zakładu karnego. Ostatnie mrozy sprawiły, że

mężczyzna doszedł do wniosku, że już nie chce marznąć i sam się zgłosi na policję. Otuchy dodali mu dwaj bracia, z którymi urządził pozełgalną imprezę. To po niej doprowadzili poszukiwanego do policyjnego aresztu.

■ TRAWĘ NAJLEPIEJ KOSIĆ NOCĄ
Policjanci z Zabrza zatrzymali dwóch mężczyzn w wieku 21 i 24 lat, którzy nocą przynosili urządzenia elektryczne, w tym kosiarkę oraz pilę łańcuchową. Zapytani przez funkcjonariuszy po co im w środ-

ku nocy taki ekwipunek, młodzi mężczyźni odparli, że właśnie idą kosić trawnik. Wyjaśnienia były na tyle niepoważne, że mundurowi od razu zorientowali się, że przedmioty te pochodzą z przestępstwa. Sprawa wydawała się patowa, bo nikt nie zgłaszał kradzieży, a zatrzymanych twardo trzymali się swojej wersji. Sprawa wyjaśniła się następnego dnia, kiedy na policję zadzwonił właściciel punku złomu i zgłosił kradzież mienia wartości 500 zł.
Źródła: www.olsztyn.com; www.zlotoryja.info; www.zabrze.com.pl

TYLKO BEZ **POLITYKI**

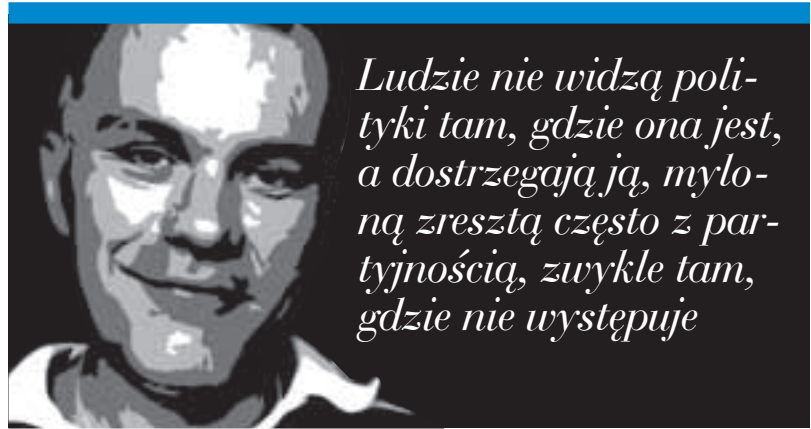
ROBERT MAZUREK

Tymi słowy zamawiał u mnie ten felieton naczelny. - Tak, tak - potakiwałem myśląc sobie w cichości „A guzik się doczekasz!” Bo właśnie będzie o polityce.

Rację mają bowiem - nie sądziłem, że kiedykolwiek to napiszę - z lekka oszalał koledeczka z „Krytyki Politycznej” mówiąc, że wszystko jest polityką, bo wszystko zależy od decyzji politycznej. I nie chodzi tu o quasi-korupcyjne układy, gdy łatwym gestem polityk daje lub odbiera forszę jakiemuś pismu czy zatrudnia na publicznej posadzie szwagra.

Myślę o czymś innym. To politycy ustalają co jest naszym priorytetem. Czy dajemy na badania naukowe czy na zasłuki dla bezrobotnych, likwidujemy gimnazja czy nie, przykręcamy śrubę w walce z korupcją czy mówimy „dość tej podejrzliwości”. Wbrew pozorom to nie są łatwe pytania, bo każda z odpowiedzi niesie ze sobą dziesiąt-

ki konsekwencji. I warto o tym wiedzieć, zanim się taką decyzję podejmie, bo później, to - bardzo przepraszam, ale sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało.



Ludzie nie widzą polityki tam, gdzie ona jest, a dostrzegają ją, myloną zresztą często z partyjnością, zwykle tam, gdzie nie występuje

I tu dochodzimy do sedna (prawda, jak szybko?). Otóż ludzie nie widzą polityki tam, gdzie ona jest (choćby rzeczony gimnazja), a dostrzegają ją, myloną zresztą często z partyjnością, zwykle tam, gdzie nie

rożytnych pojęć jak honor, godność czy pamięć.

Skoro jednak polityka musi być wszędzie, to ludzie bezstronni, europejscy i cywilizowani chętnie zgodzą się z tezą, że prawda zawsze leży pośrodku.

Bo trzeba pogodzić różne, polityczne racje. Istotę tego rozumowania pokazał mi znajomy, notabene, kompletny wariat. - Jeśli ktoś ci mówi, że dwa plus dwa to sześć - ciągnął mój przyjaciel szalenie - a ty uważasz, że jednak cztery, to zawsze znajdzie się grono ludzi światłych, którzy zaproponują ci pójście na kompromis. Będą zresztą używali argumentów dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, o prawdzie, która leży pośrodku. Ale będą też tacy, którzy mrugną okiem: „Stary, dobrze wiem, że cztery, ale co ci szkodzi, zgódź się na pięć, zawsze to bliżej prawdy niż sześć”.

Lustrzana sytuacja każe ci powiedzieć, że i wina musi się rozkładać po równo. Przykład? Ot, ostatnio szalenie, tym

razem nie mój znajomy, rzucił farbą w obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. „Któż winny: Palikot czy Kościół?” - pytał znany ze spycyficznie praktykowanej bezstronności portal Tomasz Lisa. Teza o moralnej, politycznej właśnie, odpowiedzialności Palikota i wszystkich tych, którzy się antyklerykalizmem brzydkiem bawią podsycając radykalne nastroje i szczując realnych wariatów jest dość oczywista. Skoro ktoś bawi się zapalkami w stodole, nie powinien się zdziwić, jeśli siano mu spłonie.

A teza odwrotna, że Kościół sam sobie winien? Bo o Rydzyk, bo katecheci, bo proboszcz w Wólce? Tak, oczywiście, oni są sobie winni. Bo istnieją i ludzi drażnią, nieprawdaż?

Tylko, że przypomina to jako żywo argumentację o winie zgwałconej dziewczyny. Przecież mogła, do cholery, nie chodzić w krótkiej spódniczce i nie prowokować. ■

KARTKA OD MELLERA

CHOINKA **W BUSZU**

ANDRZEJ MELLER

Buszuję po Azji od połowy lat 90. Rzuciło mnie w tym czasie od Kaukazu przez Iran, Pakistan, Afganistan i Indie po Sri Lankę, Azję Południowo-Wschodnią, aż w końcu po drogę do Indonezji przystanąłem w Maleszji. Byłem świadkiem wielu ciekawych wydarzeń; czasem dramatycznych jak wojna w Gruzji i Sri Lance, zamachy w Mumbaju czy nasycone eksplozjami wybory prezydenckie w Afganistanie. Poza byciem świadkiem wybuchów ludzkiej głupoty i zacieźnienia, których efektem jest wojna, starałem się miło spędzać czas i jak najczęściej zobaczyć. Jednak nawet najmilsze chwile mogą wymęczyć człowieka, jeśli bezustannie gdzieś goni. Dlatego pod koniec 2010 roku postanowiłem zatrzymać się w Maleszji na Święta Bożego Narodzenia. Przypadek sprawił, że na wyspie Penang miałem znajomych Polaków. Parę z Warszawy, którą poznałem wiosną w birmańskim Rangunie. Mieliśmy się spotkać między innymi po to, żeby porozmawiać o projekcie okładki do mojej książki „Miraż. Trzy lata w Azji”, którą wtedy zaczynałem pisać. Umówiliśmy się, że zrobimy sobie święta.

Tym razem już nie przypadkowo spotkałem Gosię i Tomka, z którymi po prostu umówiłem się w Hotelu Noble, obok China Town w Georgetown na wyspie Penang na zachodnim wybrzeżu archipelagu malańskiego. To

miejsce szczególnie. Kiedyś część kolonialnych Indii, perły w koronie. Wielokulturowa masala Hindusów, Chińczyków i Malajów. W samym Georgetown są dziesiątki meczetów, kościołów różnych wspólnot chrześcijańskich

na głowie 20-metrowych flag, są obecni przedstawiciele wszystkich etnosów i bawią się wspólnie do późnej nocy roześmiani od ucha do ucha.

Na jednej z ulic jestem świadkiem sceny, która uroczodnie oddaje ducha tego miasta. Bank stoi

charaktery w Bollywood. Nudzi im się najwidoczniej, więc celują do siebie palcami ułożonymi w pistolet i z okrzykami „BUM” udają, że strzelają. „Stare byki bawią się w western jak chłopcy” - myślałem sobie i popadam w kolejne zdziwienie bowiem muzejn, który właśnie zaczął

lem do parku narodowego na plażę. Obserwowałem tam z uciechą muzułmańskie dziewczyny w czarnych chustach latające za motorówką na spadochronie. Kierowca motorówki robił sobie ewidentnie jaja, bo na jakiś czas zwałniał lub stawał w miejscu i ubrane od stóp do głów dziewczyny z piskiem opadały powoli z wysokości 50 metrów w wody cieśniny Malakka. Potem, zmoczone do suchej nitki lądowały znowu na plaży.

Gosia i Tomek od dawna nie byli w domu. Postanawiamy zrobić „polską” wigilię, której podstawą będzie pieczywo, o które nie jest tu łatwo. Marzą nam się zwykle kanapki. Ogromny supermarket nie ma nam zbyt wiele do zaoferowania poza rybami. Za kawałek żółtego sera można kupić parę kilo owoców morza. Ale w sklepie panuje świąteczna atmosfera, na każdym piętrze przystrojone choinki i zniżki na malezyjskie wino. Muzułmanie widząc nas, białych krzyczą już z daleka: „Marry Christmas!” W dziale monopolowym rozbawia nas wódka „Polska”; na etykietce widnieje orzeł... z dwiema głowami. Zastanawiam się, kto w tej odległej, na ogół muzułmańskiej krainie wpadł na pomysł nazwania wódki „Polska”.

Żyjemy na wielkiej planecie, ale świat jest mały i na dobrą sprawę więcej między nami podobieństw niż różnic. Włodarze i mieszkańcy Penangu wiedzą o tym od setek lat, dlatego hołubią spokój. ■



Matrimandir - środek i dusza eksperymentalnego miasta Auroville w Indiach

i buddyjskich pagód. Wyspa jest chyba światową oazą tolerancji i dowodem na to, że muzułmanie mogą żyć w zgodzie z hinduistami, chrześcijanami czy przedstawicielami innych religii. W czasie parady Chingay 18 grudnia, na której młodzież rywalizuje w noszeniu

naprzeciw zakładu jubilerskiego. Ochroniarze z obydwu firm wychodzą na papierosa, ze strzelbami na ramionach i w okularach przeciwsłonecznych. Obaj około pięćdziesiątki, jeden Malaj muzułmanin, drugi Hindus hinduista. Wyglądają jak czarne

wzywać wiernych do namazu ma głos Krzysztofa Cugowskiego. Wyobrażam sobie pana Krzysztofa na czubku minaretu i jego skrzywioną twarz wzywającą Malajów do modlitwy. W pierwszy dzień świąt pojecha-